



FRESH

27.

FESTIWAL
"PAMIĘTAJMY O OSIECKIEJ"
TEATR NOWY W POZNANIU



WYŚLIJ ZGŁOSZENIE I WYŚPIELAJ SOBIE SŁAWĘ!
DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ NA: WWW.FESTIWALOSIECKA.PL I TEATRNOWY.PL

Organizatorzy:



Partnerzy:





Intro

Redaktor naczelny: Dawid Balcerek

Słownik PWN określa rozwój jako „proces przechodzenia do stanów lub form bardziej złożonych lub pod pewnym względem doskonalszych”. Trudno nam się nie zgodzić z tym stwierdzeniem, gdyż mamy na celu cały czas się doskonalić i tworzyć dla Was lepsze medium.

Do brzegu. Gdzie ten rozwój? Po pierwsze, mam przyjemność pochwalić się, że jesteśmy jedną z pierwszych firm, które zawitały do nowego centrum biznesowo-kulturalnego Poczta Workspace. W starym budynku Poczty Polskiej, który znajduje się przy ul. 23 lutego, stworzyliśmy naszą nową redakcję. Uwiliśmy tam sobie całkiem przyjemne gniazdko, wśród innych kreatywnych twórców. Mamy nadzieję, że w ciągu 2-3 lat będzie to kulturalne serce Poznania. O samym miejscu przeczytacie na łamach wiosennego numeru. Stworzyliśmy tam przytulny kącik, gdzie cały czas tworzymy nowe treści na kanał FreshmagTV. W marcu zrobiliśmy kilka wywiadów oraz sesji zdjęciowych, np. z Michałem Duminem czy Kathią, którzy znaleźli się w kwietniowym wydaniu. Na horyzoncie masa kolejnych projektów, więc odwiedzajcie naszą stronę, żeby być na bieżąco.

W momencie, gdy czytacie ten wstęp, na dobre hula już nowa strona www.freshmag.pl. Zmieniliśmy jej layout oraz funkcjonalność. Mam nadzieję, że Wam się spodoba i z większą swobodą będzie mogli się po niej poruszać.

W dzisiejszych czasach z drukiem coraz ciężej. Napiszę szczerze, mieliśmy chwile zwątpienia z naszym papierowym projektem. Śledzimy poznański rynek i widzimy co się dzieje. Mamy nadzieję, że pewne wydawnictwa mają tylko zadyszkę i jeszcze wrócą. Pewnie wiele osób również pomyślało, że daliśmy już sobie spokój z drukiem. Nic bardziej mylnego. Zmiany są trudne, zmuszają nas do przekraczania osobistych granic, do budowania rzeczywistości dookoła siebie od nowa, ale tylko one gwarantują nam wspomniany rozwój. PWN byłby dumny.



REDAKTOR NACZELNY:

Dawid Balcerek
dawid@freshmag.pl

WYDAWCA:

Michał Krupski
michal@freshmag.pl

Craft sp. z o.o.
ul. Książęca 1
61-361 Poznań
NIP: 7822921445

SKŁAD:

Paweł Uniejewski
info@pixelnoiz.com

REKLAMA:

Michał Krupski
600 286 242
michal@freshmag.pl

WSPÓŁPRACA:

Natalia Bednarz
Sylvia Klaczyńska
Tomasz Dworek

Michał Popiołek
Nicole Piotrowska
Maria Tuliscka-Nowacka
Zofia Myślicka
Joanna Gruszczyńska
Izabela Kowalska
Dawid Skórzybut
Bartosz Nowacki

NAKLAD:
4000 sztuk

OKŁADKA:

Michał Dumin
fot. Izabela Kowalska

4

Kathia

Debiut fonograficzny, gala Fryderyków, Time Square

12

Sztuka, jakość i satysfakcja

Fresh Art: Michał Dumin

20

GIFT – „współczesny film niemy”

Audiowizualna uczta z muzyką na żywo
w Kinie Pałacowym

8

Piotr Kruszczyński

Wywiad z dyrektorem Teatru Nowego w Poznaniu

16

**„Łataj! Ceruj! Długie życie ubrań” –
wystawa w CK Zamek**

Rozmawiamy z kuratorką wystawy Martą Smolińską

23

Ogrody społeczne

Miejsca z koncepcją jadalnego miasta.

26

Deskorołka jako zjawisko ponadczasowe

Wywiad z kolekcjonerem deskorolek,
Bartoszem Adamowskim

34

Ultraawangarda w Muzeum Narodowym

Koło Klipsa i poznański underground lat 80.

40

Mała Italia w sercu Jeżyc

Wywiad z właścicielami Amore Gusto Italiano

46

Poemat wizualny o historii Polski

Cykl videoartów
„Jacek Malczewski/Lech Majewski”

30

Północ Starego Miasta

Okolica, w której szykuje się wiele zmian

36

Czym są wina prawdziwe i gdzie je znajdziemy?

Wina naturalne przejmują poznańskie winebary

44

Poczta Workspace

Nowa przestrzeń wspólnych korzyści
w centrum Poznania

Ból, erotyczność i sensualność

Kathia

Rozmawiąta: Zofia Myślicka

Zdjęcia: Izabela Kowalska



Ból, erotyczność, sensualność – według Kathii to właśnie te trzy słowa określają album „przestrzeń”. 22-letnia artystka z Poznania, która zaczynała swoją karierę od trasy koncertowej z islandzkim muzykiem, w listopadzie zeszłego roku wydała swój debiutancki album. Minęło zaledwie kilka miesięcy a mogliśmy już ją usłyszeć na Fryderykach obok Pauliny Przybyś oraz Frank Leena, gdzie była nominowana w kategorii Fonograficzny Debiut Roku.

Zacznijmy od Twoich początków. Jak wspominasz trasę koncertową z Ragnarem? Czy to doświadczenie miało duży wpływ na Twoją dalszą karierę?

Ta współpraca zapoczątkowała moje koncertowanie. Dzięki graniu z Ragnarem nauczyłam się obchodzić ze sceną. Dzięki temu, w momencie wydania płyty, miałam za sobą już ponad 200 koncertów.

No właśnie, jesteś obyta ze sceną, więc dlaczego tak długo musieliśmy czekać na Twój album?

Wydaje mi się, że wtedy nie byłam jeszcze na to gotowa. Nie chciałam się spieszyć i cieszę się, że trochę poczekałam. Zaczynałam koncertować w wieku 18 lat, te trzy lata grania miały duży wpływ na zmiany w moim życiu i podejściu do muzyki.

Rok 2023 był dla Ciebie przełomowy. Wydanie albumu, Bestsellery Empiku, Fryderyki, koncerty i do tego reklama Spotify w Nowym Jorku. Jakie to uczucie zobaczyć siebie na tak dużym ekranie w tym miejscu?

To było dziwne. Pomyślałam, że mam strasznie kwadratową twarz. (śmiech) Faktycznie, ten rok był dla mnie przełomowy, bo wcześniej, jak wydawałam jakieś rzeczy, to nie działało się to na taką skalę. Jest to również zasługa mojego super managementu. Fajne uczucie, ale trochę przytłaczające. W miarę pojawiania się tych sukcesów, zauważyłam, że to szczęście nie trwa cały czas. Ono mija, ciągle masz chęć na kolejne rzeczy. Kiedyś wydawało mi się, że taka nominacja do Fryderyka zagwarantuje mi radość i spokój, ale tak nie jest. Stale chce się więcej. Czasem trzeba się zatrzymać na chwilę i praktykować wdzięczność.

Twoje początki twórczości są związane z muzyką elektroniczną. Nadal Cię do niej ciągnie?

Faktycznie, jak miałam 18 lat to zaczynałam od elektroniki i nadal ją sobie bardzo cenię. Aktualnie produkuję drugą płytę, gdzie wplątuje również jej elementy. Brzmienia gitarowe, żywe bębny, ale z syntezatorami, więc taki mix – strasznie się tym jaram.

Robisz wszystko sama. Produkujesz, piszesz, śpiewasz...

To prawda, ale teraz uczę się oddawać innym różne rzeczy. Jest ciężko, ale trzeba zejść z ego. Niektóre rzeczy ktoś zrobi lepiej albo właściwie inaczej. Sama wyprodukowałam „przestrzeń” — napisałam teksty i muzykę. Właśnie to jest coś, czego nigdy nikomu nie oddam. Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś miałby za mnie napisać tekst.

„Przestrzeń” wydała mi się bardzo intymna. Możemy poznać prawdziwą Kathię, to co ma w środku.

Tak, to są osobiste historie. Nikt nie opisze tego co czuję lepiej niż ja. Zastanawiałam się ostatnio, co w muzyce lubię najbardziej — jest to właśnie pisanie tekstów, muzyki oraz możliwość przekazania emocji.

W jednym z wywiadów powiedziałaś, że wszystko brzmi lepiej, gdy płaczę, gdy jest ciężiej, gdy są te metafory. Nadal przy tym przystajesz? Taka jest „przestrzeń”?

To jest przestrzeń, to jest płacz, to jest krzyk. Mam nadzieję, że to odczułaś. Najlepiej mi się pisze, kiedy mam w sobie silne emocje. Przy „przestrzeni” był smutek i cierpienie, które wynikało z braku możliwości przekazania tego uczucia. Teraz, gdy napisałam drugą płytę, to widzę, że są na



**Kiedyś wydawało mi się,
że taka nominacja do
Fryderyka zagwarantuje
mi radość i spokój,
ale tak nie jest.
Stale chce się więcej.**

niej również inne emocje. Jest tam smutek, ale w albumie jest więcej spokoju i zgody z samą sobą. Muzyka ogólnie jest o człowieczeństwie. Najlepszą częścią muzyki jest to, że ludzie mogą się z nią utożsamiać. Sama jako odbiorczynie mam coś takiego, że ta piosenka nie jest już o osobie, która ją napisała, ale o mnie. W fizycznej wersji mojego albumu, w środku, jest napisane: to jest już twoje. Chciałabym, żeby każdy odnalazł w nim coś dla siebie.

„Berlin” jest dość blisko Poznania. Skąd nawiązanie do tego miasta w tej piosence?

Kojarzysz takiego artystę jak RY X? Ma numer, który nazywa się „Berlin” — idealny do płakania. Słuchałam go, a później poszłam do swojego domowego studyjka, usiadłam na ziemi z moją rozstrojoną gitarą i zaczęłam pisać. Ten numer nie ma nic wspólnego z Berlinem, ale stwierdziłam, że go tak nazwę, bo myślę, że emocjonalnie się połączył z tym, co chciałam przekazać. W klipie są moje przyjaciółki, z którymi nawet chciałyśmy pojechać do tego miasta, ale na szczęście mogłyśmy oszukiwać, że Poznań jest naszym Berlinem z Aliexpress. (śmiech)

Wspomniałaś o swoich przyjaciółkach. Wcześniej mówiłaś, że jedna z nich stworzyła okładkę „przestrzeni”. Był to Wasz wspólny pomysł?

Razem z Natalią często się spotykałyśmy, razem omawiałyśmy koncept i przeglądałyśmy Pinteresta. Mamy podobny gust, jeśli chodzi o muzykę i graficzne rzeczy i tak powstała okładka. Dziewczyństwo to jest w ogóle najlepsza rzecz na świecie. Z nikim nie pogadasz jak z drugą dziewczyną. (śmiech) Jednak wsparcie moich rodziców i brata też jest dla mnie bardzo ważne. Jak miałam 18 lat, to mój tata mnie woził na koncerty. To rodzice kupili mi pierwsze instrumenty. Mój brat jest gitarzystą, jeździ ze mną na koncerty. Często mam chęć zostania w swojej bezpiecznej bańce — chodzi o muzykę i o strefę komfortu. Mój brat mi to daje, tak samo jak przyjaciel Artur, który jest moim perkusistą. Jesteśmy wszyscy na siebie uważni.

Jakie trzy słowa idealnie opisują „przestrzeń”?

Ból, erotyczność i sensualność. Jednak z bólem na czele.

Jak już mówisz o bólu, to czy była taka piosenka, która zaangażowała Cię bardziej emocjonalnie podczas procesu powstawania?

Właściwie to większość z nich. Jednak najbardziej gorzko wspominałam „espoir”. Pamiętam, że ten numer nagrałam w studiu o czwartej w nocy. Strasznie wtedy płakałam, miałam taki ścisk w klatce. Nagrałam demo wokali i ostatecznie wrzuciłam je na płytę. Stwierdziłam, że mają w sobie tyle surowych emocji, że nic innego by ich nie oddało. „Ciało” też jest takim utworem. Pisanie go, było oczyszczające. Przez chwilę mia-



łam nawet problem, żeby grać go na koncertach. Głos mi się trząsł, łzy w oczach — no tragedia. Ale teraz już jest dobrze.

Pozbyłaś się tych emocji, które w Tobie wtedy siedziały?

No pewnie. Nie wiem czy przez album, czy przez czas. Czas leczy rany, ale też rozmowy i wcześniej wspomniane dziewczęństwo.

Przed Tobą duże festiwale i koncerty. Czy jest scena, na której chciałbyś kiedyś zagrać? Takie Twoje sceniczne marzenie.

Chciałabym pojechać na Open'era i tam zagrać. Ten festiwal ma jakiś taki specyficzny, przyjemny klimat.

Możesz coś zdradzić odnośnie nowego albumu, o którym już wspomniałaś kilka razy? Kiedy pierwsze single, kiedy planujesz wydanie płyty?

Wiesz co, jestem w trakcie tworzenia. Mam już wszystko napisane, ale muszę przyjść do studia i zacząć dłużyć. Mam zrobione dwie demówki, niedługo dogrywamy bębny. Powolutku nadchodzi, ale nie chcę nakładać na siebie żadnej presji. Muzyka wymaga cierpliwości, na nią się czeka.

A close-up portrait of Piotr Kruszczyński, a middle-aged man with short, graying hair and a light beard. He is looking directly at the camera with a neutral expression. The background is solid black.

„Teatr żywi się konfliktem”

Wywiad z Piotrem Kruszczyńskim, dyrektorem Teatru Nowego

Rozmawiała: Natalia Bednarz

Zdjęcie: Jakub Wittchen

W marcu tego roku Teatr Nowy oficjalnie powitał nową patronkę: zmarłą w grudniu 2023 Izabellę Cywińską, wieloletnią dyrektorkę tej instytucji i pierwszą minister kultury w wolnej Polsce. Imię dotychczasowego patrona – Tadeusza Łomnickiego, który zmarł podczas próby do spektaklu “Król Lear” – nosić będzie Duża Scena Teatru. O przeszłości i przyszłości, roli teatru, trendach i kontrowersjach, a także zbliżającej się wielkimi krokami 27. już edycji festiwalu “Pamiętajmy o Osieckiej” rozmawiam z dyrektorem Teatru Nowego – Piotrem Kruszczyńskim.

Za nami oficjalna uroczystość nadania Teatrowi Nowemu nowego imienia byłej dyrektorki, Izabelli Cywińskiej. Czy przewidywane są jakieś inne formy upamiętnienia byłej dyrektorki?

Tak naprawdę hołd oddaliśmy pani Izabelli Cywińskiej już wcześniej, chociażby podczas obchodzonego w zeszłym roku 100-lecia Teatru Nowego. Zorganizowaliśmy wtedy coś, co można by nazwać remake’ami szczególnie popularnych i utrwalonych w pamięci poznaniaków spektakli. Chodzi o takie kamienie milowe, jak pamiętny “Wróg ludu” Ibsena z 1982 roku, “Matka” Witkacego czy też “Trzy siostry” Czechowa. Dekadę wcześniej, na 90-lecie teatru i 40-lecie rozpoczęcia dyrekcji Cywińskiej w Teatrze Nowym, zaprosiłem byłą dyrektorkę we własnej osobie do realizacji spektaklu “Wiśniowy sad” Czechowa. Mówiła wtedy, że wraca na deski Teatru Nowego tak, jak Raniewska wraca do tytułowego wiśniowego sadu. W repertuarze pojawiła się także na nowo “Gorączka czerwonej nocy”, pierwszy w polskim teatrze spektakl dokumentalny – tzw. doc theatre – w całości bazujący na protokołach sądowych z rozprawy przeciwko robotnikom strajku 1956. Za ten spektakl Izabella Cywińska była aresztowana i internowana, co przyczyniło się później do nominacji na pierwszą minister w solidarnościowym rządzie Tadeusza Mazowieckiego.

Jak to jest kontynuować tak ważne dzieło?

Miałem to szczęście wielokrotnie rozmawiać z panią Izabellą Cywińską o tym, jak prowadzić teatr. Odważę się nazwać siebie jej spadkobiercą. Od samego początku czuję brzemień odpowiedzialności – w końcu Teatr Nowy jest dla poznaniaków znakiem firmowym. Obejmując swoje stano-

wisko postanowiłem iść podobną drogą – opowiadać widzom dość aluzyjnie i metaforycznie o otaczającej nas rzeczywistości.

Najistotniejsze jest dla mnie to, by utrzymać etos zespołowości – nie tylko, jeśli chodzi o zespół aktorski, lecz także techniczny czy administracyjny. Jestem dumny, że nam się to udaje; jesteśmy zintegrowani, rozpoznawalni jako sprawnie działająca po wielkopolsku całość. Jeśli zaś chodzi o program, staram się zapraszać reżyserów, którzy nie są obojętni na rzeczywistość najbliższą i najdalszą. Zaczęliśmy od diagnozowania najbliższej okolicy. Kiedy przyszedłem, największym rozgłosem cieszył się cykl “Jeżycy Story” – serial teatralny Romana Pawłowskiego i Marcina Wierchowskiego, w którym aktorzy prezentowali prawdziwe biografie mieszkańców Jeżyc. Jednym z tych bohaterów był obecny prezydent Poznania, Jacek Jaśkowiak. Nie zaniedbaliśmy także sporu z polską rzeczywistością. Myślę tutaj o spektaklach “Mosdorf” czy “Ambona ludu”. Do dziś na tę rzeczywistość nie jesteśmy obojętni, o czym świadczą chociażby spektakle “Czerwone nosy” i “Sen nocy letniej” Jana Klata czy też “Lot nad kukułczym gniazdem” w inscenizacji Mai Kleczewskiej i Zbigniewa Libery.

Skoro już o “Ambonie ludu” wspominamy, pamiętam gorącą dyskusję poznańskich dziennikarzy, jaką wywołały przed laty konsultacje do spektaklu “Ambona ludu” z Uszolem, byłym szefem kiboli Lecha Poznań, noszącego tatuaż Waffen SS. Wygląda na to, że nie wszyscy tak samo widzą rolę teatru...?

Dla mnie teatr to dialog, konfrontowanie postaw na scenie – często postaw radykalnych. By to zrobić, trzeba znać przedstawicieli obu stron. Konsultacje z Uszolem służyły temu, aby rzetelnie przedstawić punkt widzenia tzw. kibola. Oburzonemu Marcinowi Kąckiemu mówiłem wtedy, że wpuszczając widzów do teatru nie weryfikuję ich za pomocą detektora tatuażu (śmiech). Przez wiele sezonów graliśmy pod hasłem “teatr dla wszystkich”. Do dziś wobec wojny polsko-polskiej zajmujemy pozycję raczej integrującą, nastawioną na zrozumienie i dialog konfrontację poglądów.

Jestem zdecydowanym przeciwnikiem cenzury w sztuce. Teatr żywi się konfliktem od stuleci i posiłkuje kontrowersyjnymi źródłami literackimi. Reżyser Jan Klata nawał siebie kiedyś “konstrukтором katastrof międzyludzkich”. Ważne jest to, by widzowie sami mogli znaleźć miejsce i postawę w scenicznym sporze. Najważniejsze, by teatr nie indoktrynował. Teatr to nie propaganda.

Przed laty, na czas grania spektaklu “Prawo wyboru” traktującego o eutanazji, w holu teatru stała “kapsuła śmierci”. Czy nowe spektakle też będą tak niekonwencjonalnie promowane?

Pamiętam, że tę kapsułę oprotowały pewne środowiska, nazywające się chrześcijańskimi, a w rzeczywistości siejącymi dość sporą nienawiść (śmiech). Przy okazji premiery zawsze zastanawiamy się z reżyserem i twórcami spektaklu, czy dana premiera wymaga specjalnego wprowadzenia, obudowania para-teatralną formą. To, co się szykuje w najbliższym czasie, jest na tyle tematycznie bliskie naszym potencjalnym widzom i widzom, że chyba nie wymaga takiej oprawy. Ale będziemy jeszcze o tym dyskutować.

Czy Pana zdaniem teatr podlega trendom?

Na pewno istnieje coś takiego, jak zainteresowanie twórców tym, co się aktualnie dzieje w kraju czy na świecie, i próba zdefiniowania problemu. Wrażliwość twórców determinuje wybór tytułów, tekstów i sposobu interpretacji. Jeśli chodzi o trend estetyczny, to staramy się przeprowadzić naszych widzów od śmiechu do łez, od zabawy do katharsis, przyciągać muzyką. Mamy świetnie śpiewający zespół. Dbam o to, byśmy co jakiś czas przyjmowali do teatru osoby po wydziałach wokalnno-aktorskich,

„Prawo wyboru”
Fot. Katarzyna Jankiewicz

które mają określone umiejętności muzyczne. To, przed czym staram się bronić, to jest przesadne nawiązywanie do estetyki telewizji, seriali czy kina. Jestem zdania, że teatr może od tych mediów przejmować tematy, ale nie sposoby wypowiedzania się i język. Powinniśmy się pięknie różnić. Teatr to jest sztuka, która dzieje się tu i teraz, bazuje na żywej energii między nadawcą a odbiorcą. Widz teatralny, który odwiedza teatr co jakiś czas, jest wrażliwy na znany tytuł. Co jakiś czas organizujemy spektakle, których tytuł budzi skojarzenia i pozwala przewidzieć to, co będzie działo się na scenie, dbając o to, by nie powielać schematów interpretacyjnych.

Co przygotowaliście dla widzów w nadchodzących miesiącach?

W kwietniu będziemy świętować 40-lecie pracy artystycznej Bożeny Borowskiej-Kropielnickiej, a w maju – 40-lecie pracy artystycznej Małgorzaty Łodej-Stachowiak. W kwietniowy weekend 12,13 i 14 kwietnia będzie ostatnia szansa, by zobaczyć “STAN PODGORĄCZKOWY. BIBO-BIT/OSIECKA”, czyli koncert, który zachwyił publiczność w całej Polsce, i pokazał publiczności twórczość Agnieszki Osieckiej w nietypowych nowych aranżacjach, przeplatanych archiwalnymi wypowiedziami artystki. Chwilę później, bo 19 kwietnia, przewidujemy premierę “Zmierzchu długiego dnia” Eugene’a O’Neilla, laureata literackiej Nagrody Nobla z 1936 roku – prawdziwej klasyki amerykańskiego dramatu. Po wakacjach natomiast odbędzie się 28. edycja “Pamiętajmy o Osieckiej”. W tym roku rozszerzamy formułę! Zamierzamy zapoznać widzów i widzki z twórczością także innych wielkich poetów polskiej piosenki – Wojciecha Młynarskiego i Jeremiego Przybory.

A który spektakl w najnowszym repertuarze jest Pana ulubionym?

Wojciech Kruk powiedział mi kiedyś, że jego ojciec, przekazując swój zakład jubilerski, dał mu ważną radę – by nie oferował wyłącznie takiej biżuterii, która jemu się podoba. Dyrektor teatru także nie może mieć prywatnych sympatii. Muszę mieć na względzie różnorodność potrzeb kulturalnych i gustów. Nie odpowiem więc na to pytanie wprost, lecz jako ogromny fan talentu naszych artystów, z ogromną przyjemnością zapraszam do uczestnictwa w obchodach 40-lecia pracy naszych aktorek w kwietniu i w maju. Jest co świętować!

Jestem zdecydowanym przeciwnikiem cenzury w sztuce. Teatr żywi się konfliktem.



Fot. Jakub Wittchen

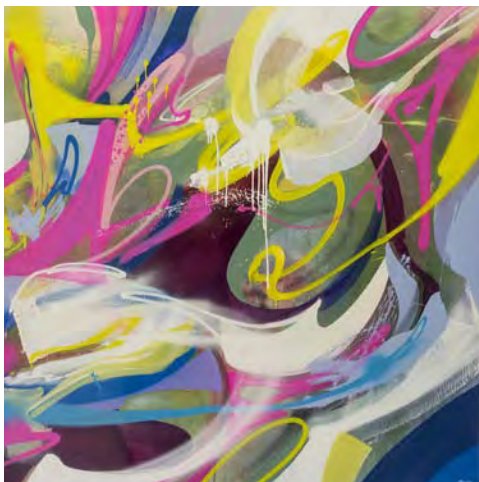


**Sztuka,
jakość
i satysfakcja**

Fresh Art: Michał Dumin

Rozmawiał: Dawid Balcerek

Zdjęcia: Izabela Kowalska

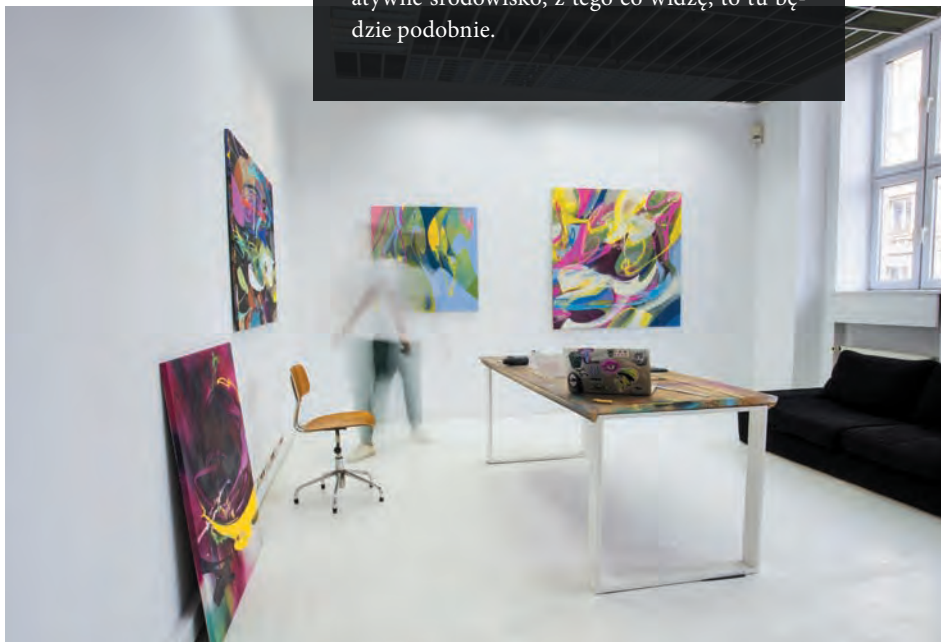


Kolor

Kolor jest dla mnie bardzo ważny, to narzędzie w pracy. Jeśli umiesz się nim posługiwać, to możesz osiągnąć spektakularne rezultaty. Brak jego użycia jest dla mnie ograniczający. Chyba, że masz tyle do powiedzenia w warstwie samej narracji, że jest Ci on niepotrzebny. Moja sztuka jest dość dekoracyjna i jestem tego świadomy. Nie jest bardzo zaangażowana. Stawiam bardziej na doznanie samego dzieła, obiekt sam w sobie, odczucia swoje i widza. To efekt bardziej moich przemyśleń i dociekań, niż dotykane ważnych społecznie spraw. Jak dla mnie wiele dzieł jest przeintelektualizowanych. Często mam problem z odbiorem, dopóki się nie zagłębie w całą historię i opis od artysty. Takie dzieła są potrzebne i je doceniam, ale nie znaczy, że muszę tak robić.

„W pracowni”

Od początku roku uruchomiłem cykl wystaw pt. „W pracowni”, w którym prezentuję nowe i te starsze prace, które są dla mnie znaczące. Pracuję dosyć szybko i to na wielu polach, robienie wystaw co pół roku nie oddaje mojego tempa pracy. Dlatego zdecydowałem, że będę robił częstsze prezentacje prac u siebie w pracowni. Mam spoko przestrzeń, w której mogę prezentować coś nad czym aktualnie pracuję. Poczta Workspace daje duże możliwości, tworzy się ciekawa społeczność, jest zapotrzebowanie na takie miejsce w Poznaniu. Pamiętam, kiedy byłem jednym z pierwszych najemców w PZG na Jeźyczach, adres szybko zapełnił się artystami i projektantami, to było bardzo kreatywne środowisko, z tego co widzę, to tu będzie podobnie.



Lustra

To pierwsze wzory z kolekcji luster, które zaprojektowałem i aktualnie pracuję nad wdrożeniem ich jako produkt, który będzie dostępny do kupienia na mojej stronie internetowej.

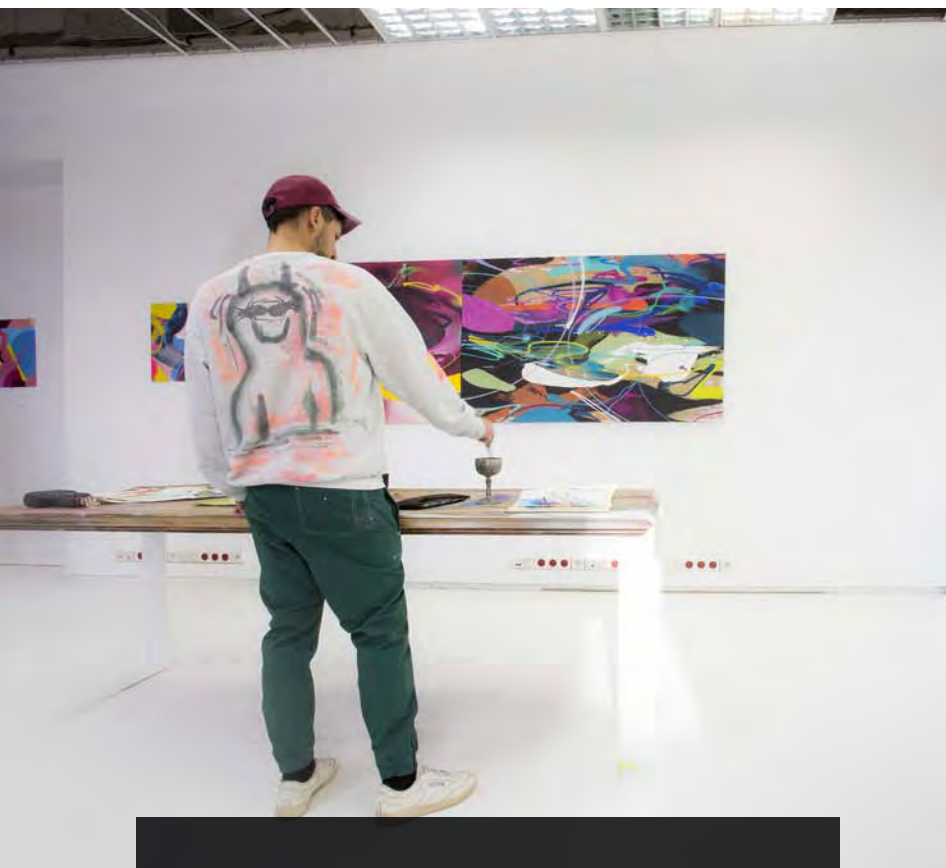
Design, sztuka, satysfakcja

Ja nie interesuję się designem, ja robię design. (śmiech) Robię sztukę, robię to co przynosi mi satysfakcję i hajs. Dla mnie to jeden z wielu wyznaczników, że dobrze płacą Ci za coś co wykonasz. To wszystko da się pogodzić. Ważne, żeby nie trzaskać chałtury. Nieraz naginam się, ale ostatnio coraz mniej. Mało jest niestety profesjonalistów, którzy wiedzą co robią. Znam ich wielu po stronie twórców, ale niestety mniej jest ich po stronie klientów. Design to zawsze praca w zespole. Trzeba dobrze dobierać współpracowników, zrobić setki zleceń, z czasem jest już tylko lżej. Sztuka też jest na maksa wymagająca i dobrze, bo jeśli jest to zajęcie na całe życie, to lepiej żeby nie było nudy.

Powrót do korzeni

Jest tego ostatnio trochę mniej, ale cały czas to dobra zajawka i staram się ją pielęgnować. Chociażby podczas wyjazdów, gdzie zawsze staram się zostawić po sobie ślad. To jest po prostu fajna zabawa, w którą angażuję nawet moją córkę, np. do klejenia wlepek. Kiedy wyjeżdżam z kolegami to wiadomo, że jest bardziej intensywny bombing. Zawsze popycha mnie to do większej eksploracji nowych miejsc, do wchodzenia w zakamarki miast, gdzie w innym wypadku na bank twoja noga by nie postąpiła.





Odtworzenie pracy Kenya Hara

No to było dość odtwórcze zadanie, ale zgodziłem się na to z uwagi na trudność zadania od strony warsztatowej i możliwość pracy dla Muzeum Narodowego w Poznaniu. Oryginał miał jakieś 5 cm wysokości i był narysowany ołówkiem na skrawku kartki. Natomiast nasz mural miał 28 metrów i malowany puszką sprayu na białej ścianie. Wzór był bardzo prosty w swojej formie, ale to właśnie sprawiało największą trudność. Musiał być malowany ręcznie bez rzutnika, wielowarstwowo, transparentnymi farbami, aby uzyskać wrażenie ołówka na kartce. Tu potrzebna jest wprawna ręka i umiejętność posługiwania się sprayem. Udało się! Kenya uradowany, Muzeum zadowolone i my z Someart'em i Zdano też.

Ulubieni artyści

Olafu Eliasson, za wciąganie widza w interakcję oraz Robert Gober, za pole do interpretacji. Z Polski to Zbiok, który ostatnio wymiata. Robert Proch jest dla mnie poza klasyfikacją – ewenement. Od paru lat jestem pod ciągłym wrażeniem Thomasa Heatherwick'a. Kreatywność to jego mocna strona, ale to już projektowanie. Ostatni mocno wałkuję Ricardo Bofill'a. Wiesz, to się przenika, to osobne dziedziny, ale funkcjonujące nierozdzielnie obok siebie. Defacto w przeszłości zespolone, co wydaje mi się lepszym podejściem.

Aktualnie

Pracuję na wielu polach, od malarstwa po design. Aktualnie zakończyłem ciekawe zlecenie dla marki Mercedes-Benz, gdzie wraz ze Zdano pomalowaliśmy nowego TIR-a. Na tej podstawie zostało oklejonych 76 kolejnych. Wymagało to od nas sporo wysiłku, aby egzemplarze, które zostały oklejone wyglądały jak ten pomalowany. Tu wchodzi kwestia znajomości technik i materiałów, to z kolei też rzutuje na moją twórczość artystyczną. Teraz na wystawę szykuję przestrzenne formy w metalicznych gradientach, co jest jakąś zajawką po wykonaniu poprzedniego zlecenia.



Bezresztkowa moda kontra fast fashion

Rozmowa z Martą Smolińską, kuratorką wystawy
„Łataj! Ceruj! Długie życie ubrań”

Rozmawiała: Natalia Bednarz

Ubrania z sieciówek mają wszystko, czego potrzebujemy – naśladują światowe wybiegi, dają namiastkę luksusu, a przy tym są relatywnie tanie i pod ręką. Nie zdążą się też znudzić, bo kolekcje pojawiają się jedna po drugiej, na chwilę, i znikają niczym baśniowy kwiat paproci. Niestety, jak wszystko na tym świecie, także i ten idylliczny obrazek ma swoją cenę – wyzysk szwaczek i szwaczy, często dzieci, a także hałdy niepotrzebnych ubrań piętrzące się w Afryce czy Ameryce Południowej. Czy pęd za modą i przynależnością jest wart dewastowania planety i niszczenia innego życia? Na to pytanie próbuje odpowiedzieć wystawa „Łataj! Ceruj! Długie życie ubrań” w CK Zamek. Będzie ją można obejrzyć od 13 kwietnia do 28 lipca. O wystawie, ubraniach i roli sztuki w zmianie mentalności rozmawiam z kuratorką wystawy, Martą Smolińską.

Skąd wziął się pomysł na wystawę?

Inicjatywa wyszła z CK Zamek od zespołu tej instytucji pod wodzą dyrektorek Anny Hryniewieckiej i Zofii Starkiewicz. Bardzo chętnie podjęłam się tego zadania, ponieważ temat wydał mi się bardzo aktualny i fascynujący.

Jaki jest cel wystawy?

Wystawa jest zbudowana dwutorowo. Nie chodzi tylko o zdiagnozowanie problemu, lecz także o strategię i pomysły na to, jak można go próbować, przynajmniej z indywidualnej perspektywy, rozwiązać. Stąd też tytuł, który jest dla nas wyzwaniem. Zwraca się do wszystkich i do każdego z nas z osobna.

Kto rzuca nam to wyzwanie? Czyją twórczość zobaczymy?

Pokażemy prace takie jak np. obraz Szwaczki Anne Peschken i Marka Pisarsky'ego, który mówi o tym, że w ramach fast fashion mamy do czynienia z wykorzystywaniem taniej siły roboczej. Susanne Friedel pokazuje nam konkretne osoby z fabryk. Opowiadają nam one o swoim

życiu, o tym, że nie mają prawa do przerwy, do życia rodzinnego, bo nie starcza im na to czasu, że są często molestowane seksualnie, pracują wiele godzin i są bardzo nisko wynagradzane. Agnieszka Kasztelowicz stworzyła z kolei swego rodzaju trójwymiarową infografikę, która pokazuje w jakim tempie rozkładają się poszczególne materiały. Paski tkanin organicznych, takich jak len czy jedwab są króciutkie, natomiast te z tkanin zawierających poliestery i sztuczne włókna są coraz dłuższe. Natomiast najdłuższy, a w zasadzie nieskończony, powinien być pasek z cekinami, ponieważ te nie rozłożą się nigdy!

Niezwykłe przytłaczający to obraz... czy zobaczymy także światełko w tunelu?

Tak! Bo nie chodzi tylko o diagnozę, ale także rozwiązania. I tutaj wkraczają takie artystki, jak Małgorzata Markiewicz, Paulina Poczęta i Anja Schwörer. Małgorzata Markiewicz z używanych ubrań szyje coś innego, często bezresztkowego – nowe, coraz bardziej fantastyczne ubrania. Często gra długością rękawów, asymetrią. Pyta też przy tym o naszą osobowość i o to, jak ubraniami można wyrazić międzyludzkie relacje. Zobaczymy m.in. jej ostatnie projekty, w których koncentruje się na współpracy z kobietami z Afryki, kierując naszą uwagę m.in. na cyrkulację towarów pomiędzy Afryką a Europą. Paulina Poczęta, jak sama się określa, jest z kolei wielbielką „szmatek”. Zwraca się w ten sposób przeciwko patriarchalnemu społeczeństwu, nie-ekologicznemu myśleniu. Artystka z używanych ubrań tworzy zupełnie nowe rzeczy – zarówno odzież, jak i obiekty, którymi możemy się przykryć, na których możemy usiąść, a więc kreatywne podejście i szeroką gamę możliwości wykorzystywania ubrań, które kiedyś noszono i wyrzucono. Anja Schwörer ma w swoim atelier w Berlinie ogromne krosno tkackie. Z resztek, które firma odzieżowa po prostu wyrzuciła, utkala przepiękne, dekoracyjne kilimy z geometrycznymi wzorami na ścianę.

Czy często Pani sama kupuje, reperuje i przerabia ubrania?

Sama ceruję rajstopy, które niestety szybko się drą. Robię to bez znajomości techniki cerowania, stawiając raczej na wyrazisty efekt, ponieważ używam neonowo zielonej nici do zaszywania czarnych rajstop. Lubię w ten sposób manifestować fakt przedłużania życia moich ubrań. Mam płaszcz, który kupiłam na drugim roku studiów – wciąż go noszę i łatam w taki sposób, by każda nowa łata dodawała mu niepowtarzalnego charakteru. W liceum chętnie nosiłam też połatane jeansy, ubrania z lumpeków i te należące kiedyś do moich rodziców. Obecnie mój partner podśmiewa się ze mnie, że noszę ubrania tak długo aż ze mnie spadną. Nie jestem jednak oczywiście nieskazitelna i też kupuję fast fashion, lecz – gdy już zgrzeszę – bardzo staram się długo używać tych rzeczy. Raczej ignoruję nowe trendy w modzie, więc to, co kupię, traktuję jako ponadczasowe.

Małgorzata Markiewicz, jedna z osób artystycznych, których prace pojawiają się na wystawie, używa ubrań „jako metafory albo krytyki kondycji świata”. Co mówią o naszym świecie sieciówkowe ubrania?

Mówią o tym, że współczesny świat rozwinął nadprodukcję i nadpodaż prawie w każdej dziedzinie życia. Fast fashion napędza tę spiralę: kupujemy szybko i tanio, wyrzucamy po kilku użyciach i nie myślimy więcej o tym, że materiały, z których wykonana jest odzież z sieciówek, nie są naturalne i nie rozkładają się szybko, zalegając w Afryce czy na pustyni Atakama. Sieciówkowe ubrania to znak naszej ludzkiej krótkowzroczności i pożądania szybkiego zarobku, a także bycia trendy za niską cenę. Małgorzata Markiewicz już od 2004 roku zajmuje się recyklingiem ubrań, a więc podjęła to zagadnienie w momencie, gdy jeszcze nie było popularne. Dla tej artystki naprawianie ubrań to naprawianie świata, etyczne działanie w mikroskali.

Jak mogą działać na rzecz slow fashion osoby, które guzik może i przyszyją ale o skomplikowanych przeróbkach, doszywaniu rękawów i tworzeniu patchworków nie ma mowy?

Zawsze można iść do osób wykonujących takie usługi zawodowo i wesprzeć w ten sposób ich rzemiosło. Można też zapisać się do kółka osób dziergających, cerujących, szyjących itp., w którym można znaleźć wsparcie w nauce tych technik i przyjacielski krąg do dyskusji. Nie chodzi o mistrzostwo. Ważna jest chęć i możliwość nadania własnej odzieży indywidualnego charakteru, którym zamykamy, że nie wyrzucamy odzieży, lecz zaprzyjaźniamy się z nią na dłużej.



Czy wystawie będą towarzyszyć jakieś warsztaty czy wydarzenia?

Program edukacyjny będzie bardzo bogaty! Odbędą się warsztaty Fashion Hacks – Kreatywne triki dla miłośniczek/ków mody, podczas których będzie można np. doszyć kieszeń lub tworzyć wzory na T-shirtach. Zajęcia Handmade Fashion: Sztuka rękodzieła w modzie zostaną natomiast poświęcone szydełkowaniu. Na innych warsztatach osoby uczestniczące dowiedzą się m.in. o ściegach i możliwościach igły tkackiej, będą tworzyć gobeliny, a uczennice i uczniowie z Zespołu Szkół Odzieżowych wskrzeszą stare ubrania poznanierek i poznaniaków. Będzie pokaz i aukcja, z której dochód trafi do schroniska dla osób w kryzysie bezdomności. W przestrzeni wystawy mają też pojawić się osoby seniorskie potrafiące szyc. Od początku zależało mi, by w programie towarzyszącym podkreślić wymianę międzygeneracyjną: młodzi będą się uczyć od starszych i rozmawiać o możliwościach przedłużania życia ubraniami. Cerowanie za pogadanie łączy możliwość spotkania i dobrej rozmowy z „załataniem” domowego budżetu. Będą też specjalne oprowadzania z zasłoniętymi oczami w ramach Sztuki w ciemno czy Dotykalskie zwiedzanie przygotowane przez g/Głuchą edukatorkę.

Z jednej strony wyzwania środowiska i potrzeba slow fashion – z drugiej z haute couture, wielkie domy mody nie liczące się kosztami, pokazy będące „sztuką dla sztuki”, ubrania, których nikt więcej nie założy. Jak to pogodzić?

Obawiam się, że system kapitalistyczny jest tak rozpędzony, że trudno włożyć mu kij w szprychy, lecz trzeba próbować. Zacząć od siebie. Dlatego, gdy mnie stać na slow fashion, to pozwalam sobie na takie zakupy. Wciąż potrzebujemy pogłębionej edukacji związanej z tymi kwestiami. Wystawa Łataj! Ceruj! Długie życie ubrań ma ważną edukacyjną rolę do odegrania!

CK Zamek, 12.04–28.07.2024

Scarf
€ 0,09

**When workers
try to form or join
a trade union,
they loose their job.
This is the way
to keep us quiet.**

**Alexandra, garment worker
in Rumania**

POZNAŃ
ROCK
FESTIVAL

⚡ 29-30.06.2024 ⚡

POLANA HARCERZA

IRA | MYSLOVITZ

VOO VOO | LUXTORPEDA

STRACHY NA LACHY | ŁYDKA GRUBASA

SZTYWNY PAL AZJI | ILLUSION

ØRGANEK



GIFT – „współczesny film niemy”

Tekst: Dawid Skórzybut

Kino Pałacowe oraz Timeless Film Festival zapraszają na doświadczenie audiowizualnej uczy. GIFT – „współczesny film niemy” z muzyką na żywo odbędzie się 12 kwietnia w Sali Wielkiej Centrum Kultury ZAMEK. Seans ten jest częścią pełnej retrospektywy japońskiego reżysera Ryūsuke Hamaguchiego, organizowanej w Kinie Pałacowym w kwietniu 2024.

„Drive my car”
Fot. Materiały dystrybutora Gutek Film i Timeless Film Festival



Pokaz z muzyką na żywo stworzył duet kompozytorki Eiko Ishibashi oraz reżysera Ryūsuke Hamaguchiego. Dwójka zaprzyjaźnionych artystów pracowała wcześniej przy filmie „Drive my car” (2021), który zdobył nie tylko Oscara w kategorii „Najlepszy pełnometrażowy film międzynarodowy” w 2022 roku, ale także Złotą Palmę w Cannes za scenariusz czy nagrodę BAFTA. Eiko Ishibashi to japońska kompozytorka i multiinstrumentalistka (pianino, perkusja, wokal) i autorka muzyki filmowej. Twórczość Eiko Ishibashi charakteryzuje się łączeniem dźwięków z różnych gatunków muzycznych – muzyka elektroniczna, ambient, jazz, co nadaje jej aspekt wyjątkowości. Ryūsuke Hamaguchi jest twórcą, który na swoim koncie ma 17 wyreżyserowanych pełnometrażowych filmów, zarówno dokumentalnych, jak i fabularnych. To połączenie można wyczuć w jego stylu – sam głosi, że nie da się stworzyć czystej fikcji lub czystego dokumentu, a moment, kiedy kamera rejestruje pracę aktora na planie jego filmów fabularnych, określa jako dokument o tym, czym zajmuje się aktor.

Mimo, że z projektu „GIFT” Hamaguchi stworzył pełnometrażowy film „Zła nie ma” („Evil Does Not Exist”) to nie można odmówić temu dziełu wyjątkowości. Międzynarodowa premiera „GIFT” odbyła się na 50. Film Fest Gent – belgijskim festiwalu filmowym o wieloletniej tradycji. Od momentu pierwszej edycji w 1974 roku Film Fest Gen rozrósł się do festiwalu, który przyciąga do siebie setki tysięcy widzów i widzek. Ten największy w Belgii festiwal filmowy skupia się na promowaniu kultury filmowej, a od połowy lat 80. koncentruje się także na muzyce. Natomiast od 28. edycji podczas gali zamknięcia odbywa się World Soundtrack Awards – rozdanie nagród przyznawanych twórcom i twórczyniom muzyki filmowej. To tutaj Eiko Ishibashi w 2022 roku otrzymała nagrodę w kategorii „Odkrycie Roku” za muzykę do „Drive my car” – muzykę, której nie można odmówić wspaniałej i oryginalnej kompozycji dźwięków, kształtującej dzieło Hamaguchiego. To wyróżnienie podbiło międzynarodowy sukces filmu. Sama Ishibashi, przy realizacji soundtracku do tego filmu, stwierdziła, że ma on działać na tej samej zasadzie, co scenografia – pozostać tłem do fabuły filmu. Co najciekawsze – Ryūsuke Hamaguchi nie był może przeciwnikiem stosowania muzyki w swoich filmach, ale w przeszłości nie wykorzystywał jej zbyt dużo. Zmieniło się to od momentu zapoznania się z dorobkiem Ishibashi. Współpraca na planie oscarowego filmu zrodziła się w przyjaźń, a po czasie japońska kompozytorka poprosiła Hamaguchiego, aby stworzył obrazy do jej najnowszej muzyki, co zrodziło projekt „GIFT”.

Z kolei dźwięki towarzyszące „Zła nie ma” („Evil Does Not Exist”), a także akcji „GIFT”, idealnie dopasowują się do kontemplacyjnej pracy kamery, statycznych kadrów i spokojnego biegu akcji. Najnowszy film duetu Hamaguchi i Ishibashi, nagrodzony na Festiwalu Filmowym BFI w Londynie za najlepszy film, to „eko-historia” o małej wiosce Mizubi-



ki, w której mieszka Takimi – samotny ojciec wychowujący swoją córkę Hanę. Główny bohater łapie się każdej dodatkowej pracy, aby wyżywić rodzinę, dlatego najczęściej zajęcia nie są pogłębione egzystencjalnie – robi tylko to, co dyktują mu szefowie. Niespodziewanie w przepięknej wiosce położonej na obrzeżach Tokio, wśród lasów, gór i jezior (i tu widzowie (-ki) mogą być pewni (-e) zachwycających ośnieżonych scenerii podczas seansu) pojawia się pomysł, aby tokijska firma Playmode wybudowała w wiosce obiekt glampingowy. Sam temat glampingu jest kontrowersyjny – wiadome jest, że turyści próbujący odciąć się od codziennego życia, mediów społecznościowych i internetu wyszukują spokoju w najodleglejszym punkcie za miastem, w którym żyje się według zasad natury. Niestety większość osób korzystająca z ośrodków glampingowych nie jest świadoma, jakie szkody dla środowiska naturalnego może zrobić sama budowa domków letniskowych – wycinka części lasów, zniszcze-

nie obecnej w miejscu fauny, zanieczyszczenia świetlne, natomiast w filmie najbardziej problematyczne wydaje się szambo, którego stworzenie ma zanieczyścić pobliskie jeziora. Wracając do dorobku Hamaguchiego, w tym filmie chyba najmocniej da się odczuć fabularno-dokumentalistyczną przeszłość japońskiego twórcy filmowego – społeczno-ekologiczny temat w połączeniu z brakiem dialogów (co może być bardziej filmowe, jak nie powrót do niemego kina?) daje nam oryginalną mieszankę filmu społecznie zaangażowanego, ale w przepięknej wizualnie oprawie, z historią, która wciąga widza (-kę) od pierwszej minuty.

Mamy, zatem przyjaźń kompozytorki muzyki, której w żaden sposób nie da się skategoryzować wraz z twórcą dokumentów i filmów fabularnych, czerpiącego inspirację z klasyków alternatywnego kina hollywoodzkiego, niemy i społecznie zaangażowany obraz filmowy z muzyką na żywo. Co wyjdzie z tej mieszanki audiowizualnej? Przekonamy się już 12 kwietnia w Sali Wielkiej CK ZAMEK na pokazie „GIFT – z muzyką na żywo”.



Eiko Ishibashi
Fot. Seiji Shibuya



W kierunku jadalnego miasta

Tekst: Joanna Gruszczyńska

Zdjęcia: Ula Jocz

Jadalne miasto to koncepcja, która zakłada tworzenie na terenie aglomeracji miejskich stref produkcji żywności, np. ogrodów społecznych. Jednym z nich jest Otwarty Ogród Nadolnik, znajdujący się w dzielnicy Główna, położonej w północno-wschodniej części Poznania. Ogrody społeczne to jednak nie tylko miejsca upraw warzyw i owoców, ale też ważne ośrodki więziotwórcze.

Wyobraźmy sobie miasto albo coś mniejszego – miejskie osiedle, a między blokami park miejski. Zaczniemy od klasycznego krajobrazu: pies na smyczy, spacerująca para trzymająca się za ręce, rabata kwiatowa, trawnik z tabliczką „nie deptać”, piknik, kocyk, ławeczka, wózek dziecięcy, ewentualnie domek dla owadów. Idźmy o krok dalej – w parku rosną jabłonie, dynie, jarmuż i zioła, którymi opiekują się mieszkanki i mieszkańcy okolicznych osiedli. W gęstych krzewach, żywopłotach i nieskoszonej trawie żyją chrząszcze, ślimaki, motyle, dzikie pszczoły i trzmiele. W parku wydzielonych jest kilka stref, na przykład strefa dla dzieci, której centralnym punktem jest kuchnia błotna. W czasie kiedy maluchy lepią klopsy z błota, ich rodzice zbierają warzywa na sobotni obiad. To nie jedne takie miejsce na świecie – w ten sposób organizowane jest każde osiedle w mieście. Ludzie nie muszą już pracować ośmiu godzin, dlatego mogą poświęcać więcej czasu na spacer, spotkania z rodziną i pracę w ogródku. Przeniesienie części upraw w przestrzeń miejską, mogłoby przyczynić się do przemian w zakresie produkcji i dystrybucji żywności. Monokulturowe uprawy, z których pochodzi większość kupowanego przez nas jedzenia, bazują na wyzysku ziemi i ludzi, przyczyniając się do masowego wymierania wielu istot. To chyba wystarczający argument za tym, żeby choć spróbować zastanowić się nad tym, jak inaczej mógłby wyglądać świat, a w kolejnym etapie przejść do działania i zacząć eksperymentować.

Prototypami nowej miejskiej rzeczywistości są ogrody społeczne. Jednym z nich jest Otwarty Ogród Nadolnik prowadzony przez mieszkańców i mieszkanki poznańskiej dzielnicy Główna. Pomysł na ogród urodził się spontanicznie podczas sąsiedzkiej gry w siatkówkę. Pierwszy warunek pozwalający na założenie inicjatywy ogrodowej został spełniony – znalazła się grupa osób, która chce działać razem i ma wspólny cel, czyli dostęp do świeżych warzyw, owoców i ziół, uprawianych bez pestycydów i herbicydów. Inną motywacją była chęć stworzenia zielonej przestrzeni relaksu i integracji. Sąsiedzi i sąsiadki, tworzący Kołorking

Ogrodnicy, to głównie mieszkańcy i mieszkanki nowych bloków, które – wydawać by się mogło – nie są zaprojektowane ani dla ludzi (przestrzenie otwarte nie pełnią funkcji wspólnototwórczych), ani dla roślin i zwierząt. Jak pokazuje przykład OON-u, ludzie potrzebują tzw. trzecich miejsc, czyli stref odpoczynku, dzielenia się doświadczeniami i swobodnego nawiązywania kontaktów, które nie są ani ich domem, ani pracą. Istnienie ogrodów społecznych to jednak nie tylko wynik samoorganizowania się mieszkańców, ale również splot innych czynników. Potrzebna jest ziemia (na Główniej działkę udostępnił ksiądz), a zazwyczaj również podmiot pozyskujący środki (jest nim Stowarzyszenie Młodych Animatorów Kultury prowadzące Fyrteł Główna) oraz instytucja chętna do tego, aby działania ogrodu sfinansować (OON wspiera Fundacja Veolia oraz Rządowy Program Fundusz Inicjatyw Obywatelskich NOWEFIO). „Postawienie” ogrodu to jedno, ale prowadzenie takiego miejsca z sukcesem to proces, który – jak pokazuje historia wielu ogrodów w całej Polsce – w pewnym momencie się urywa.

Kłody pod nogi

– Łopatą się nie da. Ledwo ją tu wbijesz. My tu kilofów używamy – mówi Tomek. Otwarty Ogród Nadolnik powstał w miejscu, gdzie wcześniej firma budująca na Główniej bloki składowała gruz. Hałdy gruzu zniknęły z powierzchni działki, ale ziemia nadal zanieczyszczona jest pokruszonym betonem, kawałkami tynku i odłamkami plastiku. Trudna przeszłość terenu daje o sobie znać do dziś, bo zapisana jest w ziemi. Twardej jak skała. Ubite przez ciężkie materiały budowlane podłoże tworzy obustronnie nieprzepuszczalną warstwę, która oprócz tego, że uniemożliwia kopanie, to nie pozwala na przenikanie wody – ani od góry, ani od dołu. Podziemne mikrokorytarze, czyli pory w glebie, które pełnią funkcję sieci transportowych wody, zapadły się pod wpływem ciężaru. Teraz ziemia ma raczej strukturę asfaltu. – Jednym z rozwiązań jest ściółkowanie – mówi Marcelina Haremza, ekspertka od permakultury, która wpadła w marcu do OON na konsultację. – Pozwala to na magazynowanie dużych ilości wody, dzięki czemu ogrody nawet w czasie największych upałów i suszy nie wymagają podlewania – dodaje, a Tomek, Aśka, Paulina, Marta, Krystian i Łukasz słuchają z uwagą.

Spotykają się co wtorek w ramach Kołorkingu Ogrodniczego, który opiekuje się OON-em. W marcu i kwietniu przygotowują się do sezonu. Planują nasadzenia, dyskutują o organizacji przestrzeni, zastanawiają się, jak zwerbować więcej ludzi do pracy. Prowadzenie ogrodu to nie tylko sielankowe chwile zbierania świeżych cukinii i pomidorków koktajlowych. Pracy jest więcej niż ludzi. Zniszczony teren powoli zamienia się w miejsce, w którym jest coraz więcej życia, ale taka przemiana wymaga

zaangażowania, które spada, kiedy latem zdarzają się akty wandalizmu. Ktoś spuszcza ze zbiorników wodę i wyrwa marchewki z grządek tylko po to, żeby porozrzucić je dookoła. Ogrody społeczne jako miejsca otwarte i dostępne mają działać na zasadzie zaufania społecznego, ale – kiedy ich „otwartość” jest rozumiana w różny sposób – ideowe podwaliny poddawane są w wątpliwość. Czy w takim razie ogród ma być zamknięty na klódkę, do której kluczyk będą mieć tylko wybrane osoby? Jednak wtedy istnieje ryzyko, że miejsce, które ma służyć całej społeczności, zamieni się we własność kilku osób.

Teren, na którym znajduje się Otwarty Ogród Nadolnik, położony jest między Parkiem Nadolnik a budynkiem kościoła i plebanii. Działka należy do księdza, który zgodził się ją wydzierżawić, ale jeszcze zanim pojawili się na niej ogrodnicy, jej fragment przejęli „psiarze”, którzy spontanicznie przekształcili ją w wybieg dla swoich czworonogów. Teraz podzielona jest na dwie części – część ogrodową i „psiarską”. Granicę między nimi, a dokładniej to, jak poruszają się psy, szczególnie wyraźnie widać latem, kiedy teren od strony wejścia do Parku Nadolnik porośnięty jest jedynie przez niskie trawy. Nie oznacza to jednak, że psy nie biegają po ogrodzie. Zapuszczają się i tam, rozkopując grządki i podkopując rośliny. Na wtorkowym spotkaniu Kołorkingu Ogrodniczego pojawia się pomysł – wzdłuż działki trzeba by postawić niskie ogrodzenie, barierkę dla psów. Najlepiej zrobić ją z tego, co już jest, czyli ze zrżyn tartacznych – pozostałości po rzeźbie, którą w ogrodzie postawił lokalny artysta Adam Sowiński. Tylko jaka jest pewność, że w wakacje ktoś tego ogrodzenia nie zniszczy...

System naczyń połączonych

Latem Krzysztof, obecny lider Kołorkingu, sam zapyła cukinie. Zrywa kwiat męski, obrywa płatki kwiatowe i pręcikami dotyka słupka kwiatu żeńskiego. Ten pierwszy osadzony jest na dłuższym ogonku, a przy tym drugim pod kwiatem znajdziemy załazek owocu, który przypomina miniaturę cukinii. Samodzielne zapylenie zwiększa prawdopodobieństwo pojawienia się owocu, który może nie zawiązywać się z kilku powodów. Temperatura, nasłonecznienie, opady, jakość gleby, obecność zapylaczy – owocowanie roślin jest składową połączonych ze sobą procesów. Deszczowe poranki zniechęcają trzmiele i dzikie pszczoły do wypraw w poszukiwaniu pyłkowego śniadania, a ludzcy architekci miast niszczą ich siedliska, źródła pożywienia i miejsca lęgowe. Miasto z betonowymi chodnikami i równo strzyżonymi trawnikami to dla nich pustynia, na której nie da się żyć, dlatego z niej uciekają. A my pozostajemy bez zapylaczy.

Ogrody społeczne to miejsca, w których możemy obserwować naszą zależność od innych stworzeń. Obecność czosnku, bazylii, oregano,



dali czy lawendy wabi trzmiele i dzikie pszczoły, dzięki którym owocują owoce i warzywa. Jeśli uprawy atakują mszyce, to nie trzeba zabijać ich środkami chemicznymi. Wystarczy, że w ogrodzie pojawią się aksamitki, koniczyna, koper ogrodowy i bez, za którymi przyjdą biedronki, które rozprawią się ze szkodnikami i uchronią rośliny przed obumarciem. – Szczególnie istotne są rośliny z rodziny astrowatych, które skłaniają biedronki do zapadania w sen zimowy w pobliżu roślin. A dzięki temu wiosną na ogrodzie pojawią się dorosłe chrząszcze – pisze Marcelina Harremza w raporcie z konsultacji przygotowanym dla ogrodników. Mieszkańcy i mieszkanki Głównej zaangażowani w działalność ogrodu uczą się rozpoznawać te zależności, a ich znajomość pozwala im tworzyć miejsce bardziej inkluzywne.

Działalność ogrodnicza, która z jednej strony sprawia, że mieszkańcy osiedli mają dostęp do świeżych i naturalnych warzyw i owoców, z drugiej strony przyczynia się do tego, że ogród może być miejscem zatrzymywania wody w mieście i siedliskiem dla wielu innych istot. To przykład podwójnego zwycięstwa – zarówno dla ludzi, jak i drzew, krzewów, owadów i ptaków, które współtworzą to miejsce. Ogród społeczny powinien więc „służyć” nie tylko ludzkiej społeczności lokalnej, ale też zwierzętom i roślinom, „niewidzialnym” sąsiadom, którzy w ogrodzie – tak jak my – znajdują pożywienie. Wtedy jadalne miasto jest jadalne nie tylko dla ludzi, a sąsiedzkość zyskuje nowe znaczenie.

Jeśli chcesz włączyć się w działania Kołorkingu Ogrodniczego prowadzącego Otwarty Ogród Nadolnik, napisz do Marty Pawlak: kontakt@dietharmonia.pl.



„Deskorolka jest zjawiskiem ponadczasowym i zawsze na topie”

**Wywiad z Bartoszem Adamowskim,
kolekcjonerem deskorolek**

Rozmawiał: Dawid Balcerek
Zdjęcia: Krzysztof Wysocki

Sam mówi o sobie, że bliżej mu do deskorolkowego muzealnika niż kolekcjonera. W swoich zbiorach ma ponad 60 deskorolek, w tym pierwsze modele tzw. „łyżwo-deski”, które były produkowane w czasach głębokiego PRLu. Jego kolekcję mogliśmy zobaczyć już na kilku wystawach w kraju. Od ponad 10 lat prowadzi stronę skatehistoria.pl, gdzie promuje historie polskiego skateboardingu i nie tylko. Aktywny skate oraz promotor kultury, który o deskorolce wie chyba wszystko.

Chodzą słuchy, że masz największą kolekcję deskorolek w kraju. Prawda to czy fałsz?

Oj, to chyba nie prawda. Z tego co mi wiadomo najwięcej z nich ma Alex Kuczyński, ale on zbiera głównie współczesne modele i w zasadzie same blaty. Nie każdy to wie, ale deskorolki kupuje się na części i jak się łatwo domyślić, to blaty są ich najważniejszym elementem. Zarówno pod względem użytkowym, jak i artystycznym. Nic więc dziwnego, że wiele osób kupuje same blaty, aby ozdabiać nimi swoje mieszkania lub pracownie.

Ile masz desek w kolekcji?

W swojej kolekcji mam ponad pięćdziesiąt deskorolek, a może i już coś w okolicach sześćdziesięciu.

Taka ilość musi zajmować sporo miejsca.

Uwierz mi, że zajmują sporo miejsca, zwłaszcza, że to kompletne deskorolki. Do tego dochodzi sporo ram ze zdjęciami, archiwalnych plakatów i reszta gadżetów związana ze skateboardingiem. Na spokojnie mógłbym wywalić wszystkie rzeczy i meble z mieszkania i w ich miejsce wstawić całą kolekcję. Myślę, że nie zostałyby zbyt wiele pustego miejsca. Zresztą cały czas w moje ręce trafiają kolejne deski. Szczególnie teraz, gdy ludzie budzą się z zimowego letargu i zaczynają sprzątać swoje piwnice i garaże.

Czy masz w swojej kolekcji deskorolkę, którą sobie cenisz najbardziej lub z jakiegoś powodu darzysz specjalną sympatią?

Każda deska ma jakąś swoją historię. Nawet jeśli przeleżała w szafie lub w piwnicy większość swojego istnienia, to jej bliźniacze egzemplarze używane były przez pierwszych „praskejtów”. Myślę, że udało mi się

zdobyć większość modeli produkowanych w PRLu, czyli powiedzmy te pięćdziesiąt czy czterdzieści lat temu. Staram się nie zbierać tych desek z pobudek kolekcjonerskich, myśląc kategoriami, która jest najstarsza, która najdroższa, a na której jeździł jakiś legendarny zawodnik. Bliżej mi do deskorolkowego muzealnika niż kolekcjonera. Mam jednak kilka smaczków, które udało mi się zdobyć, jak np. blat szwedzkiej firmy Stree-Style, która na początku lat 90. otworzyła pierwszy w Polsce skateshop z prawdziwego zdarzenia.

Czy właśnie jej nigdy byś nie sprzedał za żadne pieniądze?

Z historycznego punktu widzenia, ta deskorolka jest bezcenna. Rzadko się zdarza, aby deska z tamtych czasów zachowała się w tak dobrym stanie i w dodatku z oryginalnymi naklejkami informującymi o miejscu zakupu. Z reguły żywotność takich desek to jakieś dwa lub trzy miesiące ostrej jazdy. Potem się najczęściej łamią i kupuje się nowe blaty. Więc z pewnością, takich desek jest już niewiele. Jednak nie jestem zarówno do niej, jak i pozostałych, jakoś szczególnie mocno przywiązany — w takim materialnym znaczeniu. Studiowałem ochronę dóbr kultury i teraz to taka moja ochrona deskorolkowych dóbr kultury. Można zaryzykować stwierdzenie, że dla historii polskiej deskorolki, to taki odpowiednik Szczerbca lub Drzwi Gnieźnieńskich — „zabytek klasy zerowej”.

W swojej kolekcji masz deskorolki jeszcze z lat 70 i 80 z czasów świetności PRLu. Jak wówczas wyglądał „skateboarding” w naszym kraju? Z archiwalnych filmów PKF z Twojej strony możemy się dowiedzieć, że przejazdy na „łyżwo-deskach” odbywały się już w 79 roku!

Początki polskiego skateboardingu przypadają na połowę lat 70., czyli czasy pod rządami Edwarda Gierka. Można powiedzieć, że Polska otworzyła się wówczas na Zachód, co spowodowało, że wiele modnych wówczas rzeczy zaczęło trafiać do Polski, w tym deskorolki. Prywatne przedsiębiorstwa zaczęły kopiować deski z tworzywa sztucznego i produkować we własnych zakładach. Takim absolutnie kultowymi spotem, czyli miejscem, gdzie można było w tamtych czasach spotkać „praskejtów” był świeżo odbudowany Plac Zamkowy w Warszawie. W latach 70. nie mieliśmy jeszcze oficjalnego odpowiednika angielskiego słowa skateboard. Stąd „łyżwo-deski”, „nartowrotki” czy „deskowrotki”. Dobrze nam znana „deskorolka” przyjęła się dopiero na początku lat 80.

A w którym roku trafiły do Polski pierwsze deskorolki z Zachodu, i jakie to były modele?

To jest bardzo trudne do określenia. Wiadomo, że już w połowie lat 60. pojawiła się w Warszawie amerykańska deskorolka Sidewalk Surfboard z metalowymi jeszcze kółkami, i była dwukrotnie mniejsza od współ-

czesnych deskorolek. W ubiegłym roku miałem okazję trzymać ją w rękach. Jeśli jednak skupimy się na deskach z tak zwanej “pierwszej fali” polskiego skateboardingu, czyli z połowy lat 70., to deski trafiały do nas głównie z USA i Francji.

Jak aktualnie ma się deskorolka w Poznaniu na tle innych miast? Jak stoimy w ogóle z miejscówkami?

Scena deskorolkowa w Poznaniu zawsze miała się bardzo dobrze. Poznań miał szczęście do świetnych zawodników, którzy wyróżniali się na arenie ogólnopolskiej. Może nie pod względem zawodów, ale pod względem stylu i rozpoznawalności, to już jak najbardziej. Mamy jeden z najdłuższych działających polskich skateshopów, czyli Miniramp mieszczący się przy ulicy Długiej. Można tam zawsze wpaść i poczuć deskorolkowy klimat, za co od początku odpowiada właściciel sklepu Wino, czyli Kuba Winowiecki. Miejscem absolutnie kultowym dla lokalnych skejtów był niezwykle popularny w latach 90. Plac Wolności, który posiadał sporo murków i bardzo dobrą nawierzchnię. W wielu skatevideo (to takie filmy, które można określić jako rodzaj dokumentu sportowego) można natrafić właśnie na tricki wykonane w tym miejscu. Jego popularność zakończyła przebudowa na początku lat 2000. Okazuje się jednak, że Fontanna Wolności, również może być kreatywnie wykorzystywana, o czym świadczą wizyty w tym miejscu skejtów z różnych części Polski.



Czy dzisiaj, jako społeczeństwo, które wychowało się już na co najmniej na dwóch pokoleniach deskorolki, możemy cały czas mówić, że deskorolka wciąż wzbudza kontrowersje?

Od ostatnich igrzysk w Tokio, deskorolka to sport olimpijski. Mamy polską kadrę, wspieraną przez Ministerstwo Sportu, a nasi zawodnicy walczą o zakwalifikowanie się do tegorocznych igrzysk w Paryżu. Jednak oprócz tego “oficjalnego” pojmowania deskorolki, jest jeszcze cała ta warstwa “kulturotwórcza”, która nie pozwala traktować skateboardingu, wyłącznie jako sportu. Z naszego punktu widzenia, w sensie skejtów, jazda na deskorolce, to nie tylko zawody, ale także sposób życia, sposób wyrażania siebie, sztuki wizualne z nią związane, film, muzyka, wydarzenia artystyczne. To wszystko nie zawsze jest właściwie zrozumiane przez osoby z zewnątrz, a wiadomo, że taka nasza ludzka natura, że się bronimy przed tym, czego dobrze nie znamy.

Obecnie mamy mocny bum na lata 90., młodzież chętnie sięga do pop kultury tych czasów. Czy ma to również przełożenie na deskorolkę, która miała wówczas swoje złote czasy? Jak to widzisz?

Tak, to prawda. Od kilku lat mamy ogromny bum na kulturę lat 90. i 2000. Kiedy idę Półwiejską i mijam młodych ludzi, to większość z nich chodzi w szerokich ciuchach. Na przełomie wieków był to nieodłączny element związany z hip-hopem. Teraz niekoniecznie już tak jest. W przypadku skejtów to owszem od zawsze dominował szeroki styl, ale z nami skejtami, to już tak jest, że nosimy to co nam najbardziej odpowiada i to raczej skateboarding był dawniej wyznacznikiem stylu, w którym upatrywało się inspiracji. Zatem powracająca moda na buggy i szerokie ciuchy może świadczyć o tym, że jednak deskorolka jest zjawiskiem ponadczasowym i zawsze na topie.

Prowadzisz portal skatehistoria.pl, który jest poświęcony historii polskiej deskorolki. Nie brakuje Ci na rynku papierowych wydawnictw, jak Ślizg, Dosdedos lub Dizaster? Czy może dzisiaj taka forma prasy już nie ma racji bytu? Były próby reanimacji Ślizgu online, ale nawet to nie doszło do skutku. Czy deskorolka jest już tak mało popularna w Polsce czy to tylko oznak czasów?

Może zabrzmi to dziwnie, bo jako pasjonat historii powinienem być gorącym zwolennikiem prasy drukowanej, jednak z bólem serca muszę stwierdzić, że to przeżytek. Mam ogromny szacunek do ludzi, którym nadal chce się to robić i wiem, ile czasu i pracy to kosztuje w porównaniu do prowadzenia serwisu internetowego. Jako dzieciak chłonałem wszystkie treści o tematyce deskorolkowej, które można było spotkać w prasie. Oprócz pism stricte deskorolkowych, jak INFOMagazine i Dizaster czytałem również lifestyle’owy Ślizg, ale z biegiem lat było tam coraz mniej tre-



ści, które mnie interesowały. Myślę, że podobnie jest z innymi czytelnikami. Internet daje nieograniczone możliwości wyboru treści i musimy się z tym pogodzić. Gorzej będzie w przypadku, gdy te treści zaczną z internetu znikać. Dla nas skejtów własne zdjęcie w gazecie było czymś wyjątkowym i myślę, że każdy, kto jeździ na deskorolce, chciałby znaleźć się na okładce „Trasher Magazine”, czyli najpopularniejszego pisma deskorolkowego na naszej planecie. Jednak dla wszystkich, którzy tęsknią za prasą drukowaną, mam na swojej stronie przygotowaną bogatą bibliotekę skanów!

Z okazji działalności swojej strony wypuściłeś kolekcję specjalnych blatów. Powiesz coś o tym więcej?

W lutym tego roku świętowałem dziesięciolecie swojej strony i z tej okazji przygotowałem okolicznościową serię desek, którą przygotowałem przy współpracy z Krzysztofem Wisoćkim, właścicielem manufaktury Wataha Skateboards, która w sercu Wielkopolski produkuje blaty do deskorolek. Wspólnie przygotowaliśmy deski w dwóch kształtach i umieściliśmy na nich pracę Emila Dery, który od wielu lat zawodowo przygotowuje grafiki na deskorolki.

W zeszłym roku ruszyłeś po kraju z wystawą swoich deskorolek, które były połączone z dyskusją. Możesz powiedzieć, gdzie już byłeś i jak to wygląda?

To był szalony rok. Odwiedziłem Opole, Toruń, Lublin i Warszawę, gdzie deski wiszą na stałe. Każde z tych miejsc było wyjątkowe. W Lubli-

nie zrobiliśmy wystawę w tamtejszym centrum kultury, wpisany do rejestru zabytków. Trzeba było przekonać panią konserwator, że to dobry pomysł i ostatecznie deski zawisły na wielkich ramach z siatką. Nie sądziłem, że spotka się to z tak dużym zainteresowaniem. Chciałbym, żeby projekt rozrósł się jeszcze bardziej i przybrał formę muzeum, nad czym wspólnie pracuję wraz w warszawskim skateparku Woodpark, w którym eksponowana jest cała wystawa.

Już wspominaliśmy lata 90. Jednak są rzeczy, których nigdy nie odtworzymy — czasy The Kids, VHSów i medialnych bohaterów typu Tony Hawk minęły bezpowrotnie. Jak w dzisiejszych czasach można zarazić młodych ludzi deskorolką?

Z deskorolką jest trochę jak z taką sinusoidą. Bywały okresy wielkiego zainteresowania i okresy stagnacji. Myślę, że obecnie mamy do czynienia z bardzo dużą popularnością deskorolki, jak nie największą w całej swojej historii. Dostęp do sprzętu jest ogromny. Nie trzeba mieć w swoim mieście stacjonarnego skateshopu, bo wystarczy internet. W przeciągu ostatnich 15 lat powstało w Polsce mnóstwo świetnych skateparków. Internet połączył nas wszystkich do tego stopnia, że faktycznie można poczuć, że wszyscy mieszkamy w globalnej wiosce. Dostęp do mediów społecznościowych i dzielenie się swoimi osiągnięciami w jeździe na desce sprawia, że nie musimy uczyć się tricków z filmów VHS, bo na YouTube jest mnóstwo poradników. Jeszcze nigdy dostęp do informacji nie był tak prosty i trzeba to wykorzystać.

TEREN
PRYWATNY
WSTĘP
WZBRONIONY



Północne Stare Miasto

Czy uda się połączyć historię z nowoczesnością?

Tekst: Tomasz Dworek

W latach siedemdziesiątych dwupasmowa arteria Małych Garbar – Wolnicy/Solnej oddzieliła Stare Miasto od Świętego Wojciecha, Garbar i portu nad Wartą. Do tego czasu fyrtel był jednolitym miejskim organizmem, z łączącymi mieszkańców rynkami na Wolnicy i Placu Sapieżyńskim (Wielkopolskim). Swój klimat – dosłownie i w przenośni miały rzeźnia i Grochowe Łąki ze składami Kantorowicza, w sąsiedztwie były tętniący życiem port rzeczny, warsztaty przy Tamie Garbarskiej i — po drugiej stronie rzeki — wielka elektrociepłownia. No i do 1937 roku gorzelnia, czyli fabryka spirytusu Akwawit, która spektakularnie spłonęła. To miejsce z ogromem wspomnień mieszkańców i robotników fabryk i warsztatów. Później powstało popularne lodowisko Bogdanka, rzeźnia stała się Starą Rzeźnią z pchlim targiem, a barki przestały cumować przy nabrzeżu Warty... Wreszcie, w demokratycznej Polsce pojawiły się chaotyczne deweloperskie inwestycje oraz zamknięte osiedla bez zieleni i miejsc wspólnych.

Na wniosek Rady Osiedla Stare Miasto magistrat rozpoczął realizację planu ratunkowego wywołując miejscowe plany zagospodarowania przestrzennego dla rejonu ulicy Szyperskiej i Starej Rzeźni. Póki co, miasto wydało już warunki zabudowy dla kilku problematycznych inwestycji. Przy Polonezie (w PRL-u popularny hotel, dziś międzynarodowy akademik) powstaną na niewielkiej działce trzy wysokie bloki. Przy ul. Północnej rozpoczęto budowę Muzeum Powstania Wielkopolskiego. Z nadzieją można spoglądać na planowany miastotwórczy charakter kompleksu Starej Rzeźni. Po drugiej stronie Garbar nie udało się niestety poskromić deweloperskiej chciwości, która doprowadziła m.in. do zburzenia zabytkowego muru magazynu portowego, ostatniego świadka Akcji Bollwerk z czasów II wojny światowej.

Kompleks Rzeźni z mieszkaniami, biurami, sklepami i salą koncertową ma szansę stać się centrum fyrtla. Zwłaszcza, że plac przy centralnie położonych budynkach ma pełnić funkcję ogólnodostępnego miejskiego forum.

Cieszy planowane utworzenie tu także parku ze środków publicznych, który w założeniu będzie częścią Muzeum Niepodległości, ale też – co wypada podkreślić – wpłynie na zwiększenie wartości deweloperskiej inwestycji. Wydaje się jednak, że Miasto Poznań w niewystarczającym stopniu wykorzystuje przy tej okazji przepisy dotyczące partycypacji deweloperów w przestrzeń wspólną, choć inwestor Starej Rzeźni obiecuje m.in. remont sąsiednich Grochowych Łąk. Mają one prezentować się w berlińskim sznycie, jak na Kreuzbergu – tak reklamowano inwestycję podczas prezentacji makiety osiedla. Osiedla całkiem sporego i z wysokimi biurowcami – obawiam się, że w ostateczności w nadmiernym stopniu przysłaniającymi zabytkowe hale produkcyjne i przytłaczającymi kompleks muzealny. Bądźmy czujni: różnie deweloperzy podchodzą do rewitalizacji. Na Jeźcach na terenie dawnej zajezdni obiecano oryginalną halę targową – jak na razie zabytkowy obiekt niszczeje. A problematyczne z punktu widzenia biznesu zabytki, jak młyn w Nadolniku czy Sołtysówka na Łazarzu płonęły...

Wracając do parku – warto, żeby był dobrze zaplanowany i służył jak największej grupie poznaniaków i turystów. Niezaprzeczalnie zieleni jest ważna w naszym otoczeniu: duże drzewa dające cień, trawa i krzewy poprawiające klimat w upalne dni. Nie bez powodu deweloperzy swoim betonowym inwestycjom nadają często zielone czy ekologiczne nazwy! Nowe budynki należy wkomponować w rosnące już drzewa, dodatkowo posadzając miejscami młode rośliny. To powinno się udać.

– Ile tam przyrodniczego dobra! – opowiadały aktywistki ze Stowarzyszenia Dziewczyny w Naturze podczas spaceru zorganizowanego przez CK Zamek. Przechadzka rozpoczęła się na Wzgórzu Św. Wojciecha przy lipach, drzewach sadzonych od setek lat przy świątyniach. Na dziś niedostępnym terenie dawnej fabryki Akwawit, rosną nie tylko krwawnik i czarny bez, ale zinwentaryzowano tam ponad 250 rodzajów drzew i krzewów. Dominującymi gatunkami są robinia akacjowa, klon zwyczajny, klon jesionolistny i klon jawor. Większość drzew jest w dobrym stanie zdrowotnym.

Do lat 70. do kompleksu rzeźni kursował tramwaj przewożący robotników do zakładu pracy. Bimba ma tu powrócić zmieniając mocno układ komunikacyjny. Planowana jest budowa trasy tramwajowej z Naramowic: ulicą Szelągowską do Garbar i dalej łącząca się z istniejącą trakcją w kierunku Śródki i Placu Wielkopolskiego, a w dalszej przyszłości Garbarami w stronę Drogi Dębińskiej.

Trudno jednak mądrze planować miasto, jeżeli jego osią jest tranzyt samochodowy – zarówno samymi Garbarami, jak i rozdzielającą fyrtel dwupasmówką Estkowskiego – Solna. Rozwiązaniem jest dokończe-



fot. Tomasz Hejna

nie pierwszej ramy komunikacyjnej, która przebiegać ma przy Cytadeli. Może nie warto planować jej w formie autostradowej, a raczej w formie obwodnicy poprawiającej dojazd do planowanych 1500 mieszkań dziś, a w przyszłości kolejnych inwestycji na terenie elektrociepłowni Garbary, wyspach Ostrowa Tumskiego i w rejonie Główniej.

Mogą się na to znaleźć pieniądze. Środki z Unii Europejskiej nie są priorytetowo przekazywane na inwestycje drogowe w centrum miast, gdyż kluczem jest transport kolejowy. Największy ruch pasażerski odbywa się dziś na trasach w kierunku Gniezna, Wrześni i Wągrowca. Żeby zachować potrzebny półgodzinny takt pociągów konieczne jest zbudowanie 3 i 4 toru ruchu lokalnego z kosztowymi przeprawami mostowymi. Połączenie inwestycji drogowej i kolejowej może znacznie obniżyć koszty. Tym samym, dworzec Garbary może, na wzór berlińskiego Dworca ZOO, stać się lokalnym centrum przesiadkowym.

Do zabudowy jest jeszcze pas przy ulicy Północnej, gdzie dziś znajdują się magazyny firm sprzątających. Miały tam powstać mieszkania w ramach programu rządu PiS, ale... nie powstały.

Niestety nie mamy dziś w Poznaniu oryginalnej światowej klasy architektury, może poza Bałtykiem. Większość to powielane konstrukty autorstwa kilku biur architektonicznych. Dlatego tym bardziej powinniśmy szanować dziedzictwo historii. Kompleksy Starej Rzeźni czy Przemysłowni Ścieków przy Garbarach były najnowocześniejszymi przedsię-

wzięciami dawnego Poznania o światowych parametrach przemysłowych i architektonicznych. Nie można dziś w Poznaniu liczyć na architekta miasta, który wyraża zgodę na szkodliwe społecznie kurioza, jak nadbudowa kapitanatu, ostatniego świadka historii portu.

Spróbujmy sobie wyobrazić idealną wizję tego fiirtla: na dobrze zaplanowanym dworcu wysiadają pracownicy biurowców w Starej Rzeźni i turyści zmierzający przez atrakcyjny kompleks Starej Rzeźni na Stare Miasto; studenci przesiadają się na tramwaj, który zawodzi ich Szelągowską do akademików na Winogradach. Turyści biorą udział w wydarzeniach kulturalnych w Starej Rzeźni, powrócił tam też flohmarkt. Uczniowie poznają historię w muzeum Powstania Wielkopolskiego, w przerwie wylegając się na parkowej trawie, a potem przechodzą malowniczymi schodkami na Wzgórze Św. Wojciecha i poznańską Skałkę. Przy Cytadeli (to miejsce wyjątkowe, na kolejną opowieść) powstaje nowoczesne centrum turystyczne z parkingiem dla autokarów i atrakcyjnym traktem pieszym aż do Starego Rynku. Wszędzie jest dużo zieleni, drzew, dzięki czemu wzrasta jakość życia w tym fiirtlu. Nie ma już dwupasmowej drogi wschód – zachód przecinającej Stare Miasto, a w miejscu asfaltu jest pas zieleni – prawdziwe planty północne. Na Stare Miasto można dojechać dobrze funkcjonującą komunikacją tramwajową lub zaparkować auto na jednym z licznych parkingów buforowych. Do centrum miasta zapraszają sklepy z rzemiosłem i ogrom restauracji i kafejek.



W trosce o Ciebie!

Oferujemy asortyment z zakresu opieki medycznej, higieny i pielęgnacji ciała. Stawiamy na najlepsze marki oraz robimy wszystko, by zapewnić najkorzystniejsze ceny.

Zapraszamy do naszego sklepu

sklep.wwcare.pl

Twój kod* rabatowy na pierwsze zakupy

WWCAREGO

*Kod jednorazowy, wprowadź w koszyku zakupowym. Nie łączy się z innymi promocjami.

W naszym sklepie kupisz produkty renomowanych marek



WW CARE, ul. Sezamkowa 8, 62-070 Konarzewo, NIP: 7822276200
tel.: 508 909 101
e-mail: biuro@wwcare.pl

Muzeum Narodowe w Poznaniu

ULTRA AWA GARD



**5.04-28.07
2024**

**Koło Klipsa i poznański
underground lat 80.**

XX wieku

Ekspozycja przypominać będzie dorobek legendarnej poznańskiej grupy Koło Klipsa, której twórczość zaliczano do nurtu nowej ekspresji lat osiemdziesiątych. W 2024 roku przypada czterdziesta rocznica pierwszej wystawy Koła Klipsa zorganizowanej w 1984 roku w Galerii Wielka 19. Twórczość grupy, którą w głównym składzie tworzyli: Mariusz Kruk, Wojciech Kujawski, Leszek Knaflewski i Krzysztof Markowski, ukazana zostanie na wystawie w kontekście undergroundowej sceny muzycznej Poznania – przestrzeni alternatywnego obiegu, w którym jako głos sprzeciwu wobec oficjalnej polityki kulturalnej państwa wybrzmiewała muzyka awangardowa, eksperymentalna i punk. Także w Poznaniu, za sprawą wielu indywidualności, pojawiły się inicjatywy konstatujące społeczny i polityczny porządek, a jednym z najważniejszych środków wyrazu stała się muzyka rockowa. W poznańskiej Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych mieścił się kultowy klub DNO, w którym raz w tygodniu odbywały się imprezy muzyczne, przyciągające młodzież z całego miasta. Współprowadzeniem klubu zajmował się Leszek Knaflewski, członek grupy Koło Klipsa, później także założyciel i kierownik Pracowni Audiosfery, łączącej poszukiwania w obszarze sztuk wizualnych i dźwięku. Artysta wraz z Andrzejem Karpińskim, Piotrem Łakomym, Zdzisławem Krauze i Mariuszem Włodarkiewiczem tworzył także pierwszy poznański punkowy zespół muzyczny STEN.

Wystawa podzielona zostanie na dwie, uzupełniające się części. W pierwszej zaprezentowane zostaną obiekty, rysunki i archiwalia poświęcone grupie Koło Klipsa. Będą to duże obiekty przestrzenne, maszynopisy, rysunki, fotografie, plakaty, katalogi, nagrania dźwiękowe i archiwalne materiały video. W drugiej części wystawy zaprezentowana zostanie muzyczna scena Poznania lat osiemdziesiątych. Będą to materiały archiwalne, ziny, kasety, plakaty, fotografie, instrumenty muzyczne, nagrania audio, filmy video związane z twórczością takich zespołów jak m.in.: Reportaż, TAZ, Bexa Lala, Malarze i żołnierze, Ręce do góry, Krew, Zbombardowana laleczka, Bexa Lala, Rasa, Pidżama Porno.

Na ekspozycji zaprezentowane zostaną obiekty z kolekcji: Muzeum Sztuki w Łodzi, Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku, Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, Muzeum Narodowego w Poznaniu oraz kolekcji prywatnych.

Kuratorzy:

- ♦ dr Anna Borowiec
(Muzeum Narodowe w Poznaniu)
- ♦ prof. dr hab. Krzysztof Gajda
(Pracownia Badań Literatury i Kultury Niezależnej UAM)
- ♦ dr Jarosław Lubiak
(Akademia Sztuki w Szczecinie)



Wina prawdziwe w natarciu

Tekst: Michał Popiołek

Wina naturalne to zjawisko już od dobrych kilku dekad zdobywające coraz większą widoczność na światowej scenie winiarskiej. W Polsce boom na wina autentyczne zaczął się stosunkowo niedawno i konsekwentnie opanowuje kolejne miasta, w tym także Poznań.

Wino naturalne – co to takiego?

Czym właściwie jest wino naturalne? A może, żeby lepiej opowiedzieć tę historię określimy wstępnie, jak wino może być „nienaturalne”. Według najprostszej definicji wino to przecież sfermentowany sok z winogron. Produkt ten może być dalej uszlachetniany przez dojrzewanie (np. w beczkach dębowych) i następnie, zazwyczaj w szklanej butelce trafia do konsumenta. Okazuje się jednak, że mnogość technologii i produktów, których cywilizacja dostarczyła winiarzom głównie w wieku XX pozwoliła na ogrom manipulacji, dodawania, ujmowania, ulepszenia tegoż sfermentowanego soku z winogron tak, że efekt końcowy nie był już ekspresją zaklętego w gronach smaku, ale raczej emanacją warstw winiarskiego makijażu. Filtry, siarka, sorbinian potasu, odkwaszanie, dokwaszanie, kupne drożdże to tylko drobny wycinek listy produktów i procesów, które zostały przez winiarzy na całym świecie dodane do listy obowiązkowych przy produkcji wina. Naturaliści, podnoszący argument braku autentyczności win tak powstających, zaczęli oddolnie tworzyć ruch, sprzeciwiający się podobnym praktykom. Nie mniej ważnym aspektem pracy naturalisty, jest ekologiczna uprawa winorośli. Dbałość o zdrowy ekosystem, bioróżnorodność, unikanie chemizacji i mechanizacji w winnicy to także elementarne wartości dla producentów.

Zachodni wiatr

O tym, że najróżniejsze mody i trendy docierają do nas z zachodu, nie trzeba nikogo przekonywać. Nie inaczej jest w przypadku win naturalnych. Są miasta w Europie, gdzie picie win konwencjonalnych będzie być może niebawem przejawem większej ekstrawagancji niż picie win naturalnych. Kopenhaga, stolica fine dining'owej europejskiej gastronomii jest jednym z najważniejszych dużych miast, w których popularne „naturalisy” od dawna już nie są niczym nowym i zaskakującym. Podobnie sprawy mają się w Amsterdamie. Choć Niemcy pozostają raczej konserwatywne w gustach jako całość, to jednak kosmopolityczny Berlin jest rewelacyjnym rynkiem dla winiarskiej awangardy. Poza Europą kapitalnym rynkiem dla win naturalnych jest Japonia.



fot. Magda Klimczak

Wina naturalne – najważniejsze style i rodzaje

Wina naturalne przypominają niekiedy w odbiorze wina konwencjonalne. Po prostu dzięki umiejętnościom i kulturze pracy winiarza, szereg chemiczno-technicznych dodatków okazał się zbędny. Z drugiej strony świat win naturalnych ma do zaproponowania pewne stylistyki, których raczej próżno szukać w świecie konwencji. Przykładem takich win będą chociażby delikatnie musujące, prawie zawsze mętne i często dosłownie wyskakujące z butelki, zamykane kapslem pet-nat'y (od francuskiego pétillant-naturel – naturalnie musujące). Inną ważną stylistyką są wina pomarańczowe. Są to wina z białych winogron, które przechodzą fazę maceracji (kontaktu soku z wyciśniętych winogron ze skórkami). W Europie i na świecie (może z wyjątkiem Gruzji) w taki sposób produkuje się głównie wina czerwone, ale dla naturalistów nie ma konwencji nie do przełamania.

Naturalisy w Poznaniu – gdzie spędzić wieczór?

Jeszcze pięć lat temu poznański rynek win naturalnych poza kilkoma wyjątkami właściwie nie istniał. W ciągu ostatnich 2-3 lat miejsc zainteresowanych tymi winami pojawiło się sporo. Kilka z nich postawiło w swojej ofercie wyłącznie na wina naturalne. Co jednak ważniejsze dla sukcesu całej kategorii, coraz więcej winebarów, sklepów i restauracji chce tworzyć mieszane oferty, sprawnie mieszcząc na swoich półkach klasykę i awangardę.



Na zdjęciu Łukasz Głowacki, head sommelier gwiazdkowej MUGI

Jeszcze pięć lat temu poznański rynek win naturalnych poza kilkoma wyjątkami właściwie nie istniał.

Ortodoksyjnym wyznawcom win naturalnych nie trzeba z pewnością przedstawiać Winnowierców. To winebar mogący pochwalić się potężną kolekcją win naturalnych i żadnych innych. Nie znajdziecie tu ani piwa, ani mocnych alkoholi, żadnych półśrodków czy dróg na skróty. Swego rodzaju zagłębie win naturalnych wykształciło się na ulicy Ratajczaka. San-szajn, Perelka, a także niedawno otwarty Tygryz to miejsca z pełnym przekonaniem proponujące swoim gościom wina naturalne. We wszystkich wymienionych powyżej miejscach znajdziecie również świetną kuchnię w modnej dziś formule talerzyków do dzielenia. Pozycje naturalne mają w swojej ofercie dobrze ugruntowane już na poznańskiej scenie winebary – jeżyckie Winobramie, Winny na ul. Garncarskiej, a także winiarnie osiedlowe, jak choćby zlokalizowany na Łacinie lokal Ala Ma Wino.

Wina naturalne na stałe zagościły również w high-endowej poznańskiej gastronomii. Jedyna poznańska restauracja z gwiazdką Michelin, czyli MUGA ma w ofercie dziesiątki naturalnych etykiet. Po otrzymaniu wyróżnienia francuskiego przewodnika sommelier restauracji, Łukasz Głowacki, wprowadził na stałe do oferty wine pairing naturalny w wersji podstawowej i premium.

Naturalsy w Poznaniu – gdzie kupić do domu?

Nie tylko scena gastronomiczna ma w Poznaniu wiele do zaoferowania w kontekście win naturalnych. Coraz więcej sklepów specjalistycznych oferuje produkty z tej kategorii. W centrum doskonałymi adresami są Tasting Room (Jeżyce) oraz Casa de Vinos (Centrum, sklep połączony z restauracją MUGA). Dla chcących zaopatrzyć się w wina naturalne bez konieczności odwiedzania centrum miasta bardzo szeroką ofertę win naturalnych przygotował poznański importer VININOVA. Ich sklepy zlokalizowane są w kilku lokalizacjach (Łęczycza, Kamionki, Suchy Las, Dąbrówka, Ławica), a oferta win naturalnych to niemal czterysta etykiet z całego świata.

Dokąd zmierzasz wino?

Trudno określić, czy wina naturalne to trend, moda, czy może przyszłość światowego winiarstwa i rewolucja, której nie da się zatrzymać. Faktem jest, iż po dekadach podbijania Europy, ruch ten na dobre zdomował się w Polsce. Choć za stolice win naturalnych uważa się w kraju nad Wisłą przede wszystkim Kraków i Warszawę, Poznań ma wiele (i coraz więcej!) do zaoferowania. Widząc dynamikę rozwoju i rosnący entuzjazm branży gastronomicznej dla tej kategorii win, można zakładać, że miłośników naturalsów czeka u nas jeszcze wiele dobrego.

słonce



concept store z polskim rękodziełem

Poznań, Szamarzewskiego 28
www.slonce.store @slonce_concept



Dolce far niente

Kilka słów o włoskiej kuchni, błogim lenistwie i życzliwości

Rozmawiąta: Nicole Piotrowska

Zdjęcia: Sylwia Klaczyńska

Little Italy w sercu poznańskich Jeżyc? Amore Gusto Italiano to niezwykle miejsce, któremu daleko do typowych włoskich restauracji. To coś więcej — mały lokal przenosi nas prosto do Włoch znanych lokalsom.

Kuchnia włoska to bez wątpienia jeden z najczęstszych wyborów, na które decydujemy się w poszukiwaniu kulinarnych wrażeń. Pasta, pizza neapolitańska, tiramisu... Restauracje prześcigają się w opracowaniu najlepszej receptury na neapolitańskie ciasto, sos pomidorowy, poszukują kremowej burraty i wyrazistego balsamico, które podkreśli smak dania.

A gdyby tak postawić na całkowicie domową kuchnię, gdzie królują receptury przywiezione prosto z Italii, a z głośników rozbrzmiewa Radio Italia? Wybieramy się na Mickiewicza 7, gdzie znajdziecie Amore Gusto Italiano — małą knajpkę z pyszną pizzą, domowymi obiadami i klasycznymi deserami.

Miejsce – prowadzone przez Giovanniego i Dorotę, która Italii oddała swoje serce – przyciąga gości nie tylko z Jeżyc. Opinie mówią same za siebie — jest smacznie, jest szczerze, jest autentycznie.

„Pyszna kuchnia włoska. O dziwo, mieli państwo smaczniejsze corneto niż w Rzymie. Makaron też bardzo dobry. Jak wrócę do Poznania napewno zabiorę Tutaj moja dziewczynę, mam nadzieję że tym razem będzie lassagne. Gratzie!”

„Małe, niepozorne miejsce, a pyszne, że palce lizać! Autentyczne. Włoskie. Znakomita pizza robiona przez sympatycznego Włocha, serwowana przez sympatyczną Panią. Uśmiech na ich twarzach, życzliwość i w komplecie z tą włoską pizza sprawiają, że to miejsce odwiedzę ponownie próbując innych włoskich potraw.”

„Właściciel bardzo stara się o jakość swoich produktów i to naprawdę czuć. Ciastka czy kawa bardzo dobre. Na końcu pytają się czy smakowało to zawsze mile. Będę tam wracał bo kawiarnia jest tworzona z pasją. Polecam.”

(via Google, pisownia oryginalna)

Amore niejednokrotnie odwiedziłam jako gość, dlatego postanowiłam spotkać się z Dorotą i Giovannim, aby porozmawiać o idei tego miejsca.

Skąd pomysł na otwarcie włoskiego bistro w centrum Poznania?

Dorota (tłumacząc słowa Giovanniego): On miał we Włoszech swoje restauracje — pizzerie, lodziarnie – łącznie 23 lokale.



Co się w takim razie stało?

D (tłum.): Życie. We Włoszech jest trudniej ze względu na kwestie formalno-podatkowe. Trzeba liczyć się ze znacznie większą liczbą kontroli i to różnych organów.

Jak w Polsce przyjęła się taka nierestauracyjna formuła, którą tu realizujecie?

D: Makarony uwielbiają wszyscy. Jeden ze stałych klientów przy okazji wizyty wspominał, że jego dzieci uznały, że makarony u Włocha w Poznaniu są lepsze od tych, które jadły podczas wakacji w Bolonii (śmiech). Szykujemy również zestawy obiadowe, po to, aby przyciągnąć gości, ale cały czas bazujemy na włoskiej kuchni.

(przerwywamy na chwilę rozmowę, aby pani Dorota mogła przyjąć zamówienie)

D: U nas wszystko jest świeże, bez konserwantów. Przychodzimy po 8:00, pieczemy wszystko, co jest potrzebne na dany dzień.

Czyli działacie zgodnie z recepturą, nie próbujecie na siłę spolszczać przepisów?

D: Polacy znają Włochy i włoskie smaki. W Poznaniu nie brakuje takich miejsc, choć niestety czasem są one włoskie tylko z nazwy. Staramy się stawiać na autentyczność. Wśród deserów mamy brioche z nadzieniami różnego rodzaju, lody, sycylijskie cannolo z ricottą, tiramisu. Oprócz tego goście zjadają u nas klasyczne panzerotti czy arancini.



Czy pojawiają się pytania o dania, których wiecie, że nigdy nie będziecie mieć w swoim menu?

D: Stawiamy na prosta kuchnię. Mamy stałych klientów, którzy bardzo to doceniają. Dobre jedzenie zawsze się obroni, nie trzeba wielkich reklam.

Przy tak dużym obłożeniu nie dopada Was zmęczenie?

D: Największe zmęczenie pojawia się wtedy, kiedy nie ma ruchu. Kiedy się dzieje, to o niczym nie myślisz. A tak, można porozmawiać ze stałymi gośćmi. Choć pojawiają się i tacy dla których 5 minut oczekiwania to już za długo. Niestety, ale jako Polacy jesteśmy malkontentami. We Włoszech tego nie ma. Nie spieszy im się. Siadasz przy stoliku i czekasz, aż kelner poda Ci aperitivo. U nas musi być na szybko.

Nie da się ukryć, że kultura celebracji jedzenia we Włoszech jest zupełnie inna.

D: To prawda, zaczynamy od antipasti, potem mamy primi i secondo. Na koniec deser i kawa. Do kolacji siada się dość późno, dlatego ja na początku mówiłam sobie „Nie dam rady tego wszystkiego zjeść”. A tu jeszcze słodkości na koniec.





Wspomniała Pani, że nam jako Polakom wszędzie się spieszy, lubimy sobie pomarudzić. Jakie są w takim razie trzy rzeczy, których mogliśmy nauczyć się od Włochów?

D: Przede wszystkim uśmiech i życzliwość. Kiedy zapytasz Włocha jak się czuje, prawdopodobnie odpowie tutto bene („wszystko w porządku”). Lubię czasem pożartować z klientami, ale zdarzyła mi się dwa razy sytuacja, w której ktoś na mnie krzywo spojrział. Wydaje mi się, że jest to poniekąd pokłosie pandemii — dystansowaliśmy się, zrobiliśmy bardziej nieufni i zamknięci w sobie.

Kolejną kwestią, która zwróciła moją uwagę we Włoszech jest to, że zupełnie inaczej wygląda tam kultura obsługi w restauracjach. Kelnerzy to bardzo często osoby dojrzałe, doświadczone. Zawód to pasja, a nie sposób na dorobienie. Chciałam zapytać, jak wygląda to z Waszej perspektywy?

D (tłum.): We Włoszech nie każdy młody chce pracować. Wolą się bawić, chodzić na dyskoteki. Starsze osoby podchodzą do tego bardziej profesjonalnie. Młodzież w weekend ma inne plany. W tygodniu wieczorami chodzą na aperitivo ze znajomymi.

Polacy znają Włochy i włoskie smaki. W Poznaniu nie brakuje takich miejsc, choć niestety czasem są one włoskie tylko z nazwy.

Zupełnie inaczej wygląda kultura jedzenia na mieście, o czym rozmawialiśmy wcześniej. Włosi nawet uroczystości rodzinne takie jak Święta wyprawiają niejednokrotnie w lokalach. Poranek zaczynają od kawy i brioches. To normalne, że wstępuje się na nie przed pracą. U nas nie ma tej reguły.

Giovanni, czego Polacy mogliby się nauczyć od Włochów?

Giovanni: Żartu, zabawy, riposty. No i zwolnienia. My się wszędzie spieszymy.

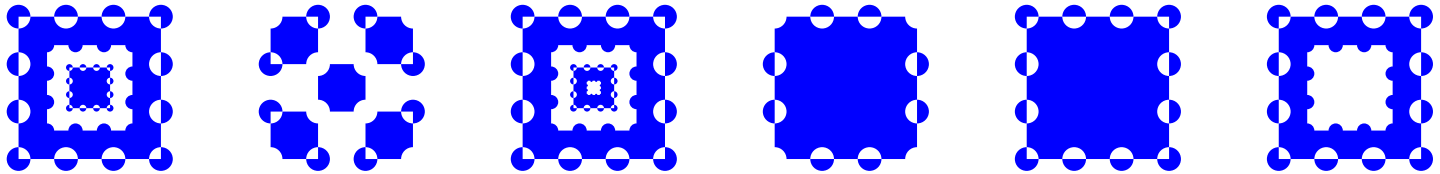
Cytując znane, włoskie przysłowie – pozwólmy sobie czasem na dolce far niente, czyli beztroskę nicnierobienia. Bez pośpiechu. Spacer uliczkami Jeżyc i domowy obiad u Giovanniego? Amore Gusto Italiano!



Poczta Workspace

Nowa przestrzeń wspólnych korzyści
w centrum Poznania

POCZTA



Kiedy świat twórców spotyka się biznesem powstaje wyjątkowa przestrzeń inspiracji i wspólnych korzyści. Przedstawiamy Poczta Workspace – miejsce o powierzchni 6000 m², w którym dobra energia artystycznych pracowni przenika się z kompetencjami i usługami firm, które zadomowiły się już w budynku starej poczty, usytuowanym przy ul. 23 lutego 26 w Poznaniu.

Poczta Workspace to także miejsce spotkań, wystaw, koncertów, warsztatów i innowacji.

Na Poczcie zamieszkało już kilku artystów – m.in. Dumin i Noriaki, a także firm i twórczych inicjatyw, takich jak Good Taste Production, Freshmag, All for Law, czy szkoła muzyczna, szkoła aktorska i szkoła tańca break dance.

Miejsca w budynku jest jeszcze jednak sporo, dlatego też w progi Poczty zapraszamy szeroko pojętą branżę kreatywną, artystów oraz lokalne pracownie i manufaktury.

A teraz trochę o historii miejsca...

Pierwszy gmach pocztowy stanął w tym miejscu w 1798 r. i miał dwie kondygnacje. W latach 1872–1881 zbudowano następny neorenesansowy budynek z kopułą, według projektu Heinricha Kocha. Mieścił on w sobie m.in. stację dyliżansów. W 1936 r. wnętrza budynku przebudowano, dzieląc w nowoczesny na owe czasy sposób działły: pocztowy i telekomunikacyjny. Prace kontynuowano w czasie II Wojny Światowej, nadając obiektowi obecny wygląd.

Ostatnim właścicielem budynku przed erą Poczta Workspace była firma telekomunikacyjna.

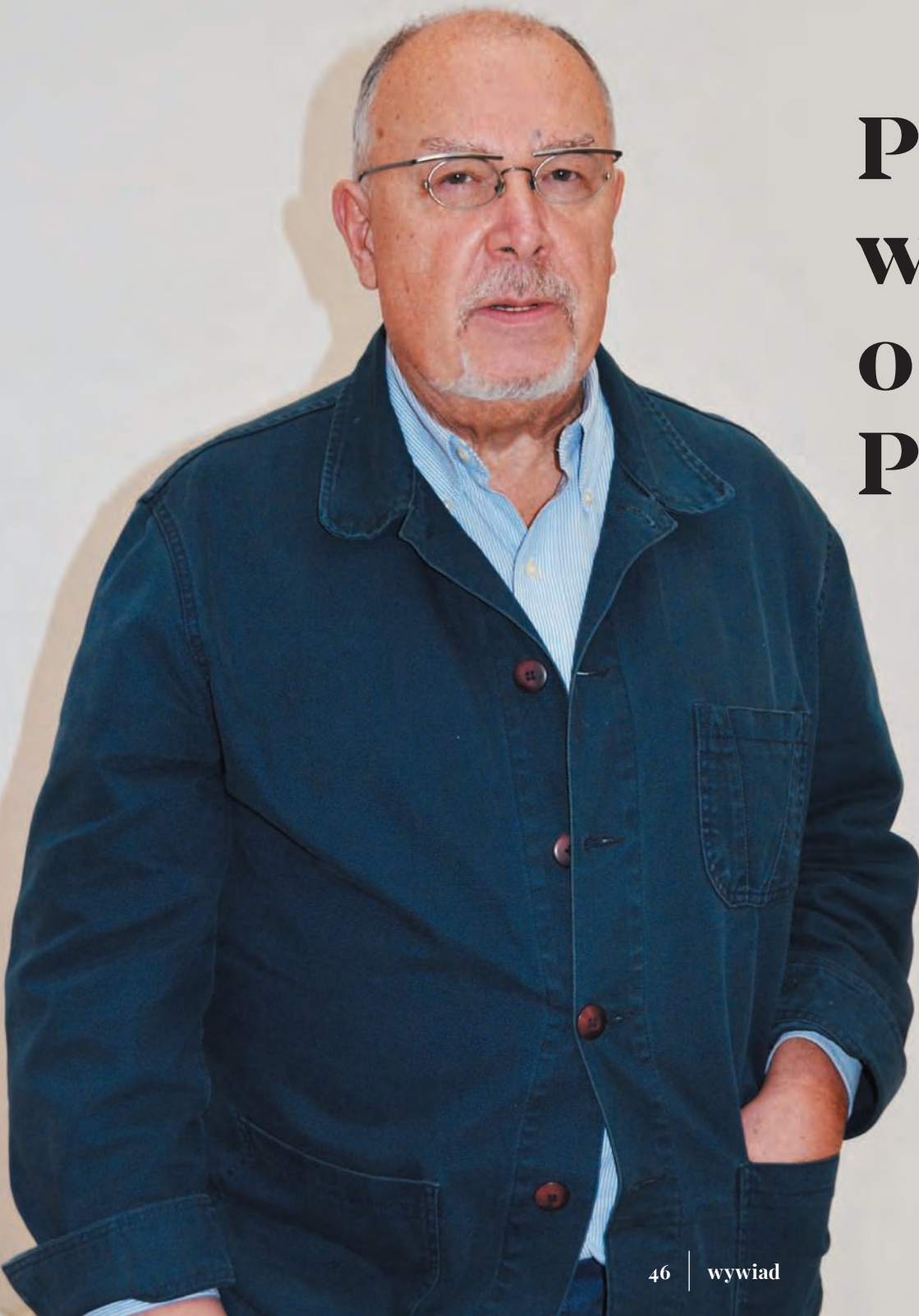
Koncepcja funkcjonowania projektu Poczta Workspace powstała z poszanowaniem historii, w końcu od zawsze była tu poczta, dlatego też w nazwie budynku także i Poczta musiała pozostać.

Co dalej?

Docelowo za około 2-3 lata budynek czeka gruntowny remont, którego efektem będzie stworzenie jednego z najnowocześniejszych i najlepiej wyposażonych workspace'ów w tej części Europy.

W budynku, oprócz przestrzeni na około 800 biurek pojawi się także wiele części wspólnych, otwarte pracownie, a także kawiarnia i restauracja.

**pracownie/biura/coworking/warsztaty/szkolenia/wystawy/
koncerty/innowacje
ul. 23 lutego 26, Poznań
instagram.com/poczta.workspace
www.pocztaworkspace.pl
info@pocztaworkspace.pl**



Poemat wizualny o historii Polski

**Rozmowa z Lechem Majewskim,
autorem cyklu videoartów
zatytułowanych
„Jacek Malczewski/Lech Majewski”**

Rozmawiała: Maria Tuliszka-Nowacka

Zdjęcia: Dawid Balcerek

Lech Majewski jest reżyserem, malarzem, pisarzem oraz autorem, tak wybitnych dzieł filmowych jak „Młyn i krzyż”, który był inspirowany obrazem Droga krzyżowa Petera Brueghela Starszego, czy „Ogród rozkoszy ziemskich”, opierający się na motywach zaczerpniętych z tytułowego obrazu Hieronima Boscha. Twórczość Majewskiego uhonorowało m.in. The Museum of Modern Art w Nowym Jorku, organizując w maju 2006 indywidualną retrospektywę wystawę jego twórczości. Lech Majewski jest twórcą licznych videoartów, m.in. „Krew poety” oraz „Brueghel suite”. Obecnie stworzył również 12 videoartów stanowiących reinterpretację dzieł Jacka Malczewskiego, stworzonych dla Muzeum Narodowego w Poznaniu.

Projekt „Jacek Malczewski/Lech Majewski” to cykl 12 videoartów złożonych z kilkunastu wybranych dzieł Jacka Malczewskiego, które twórczo reinterpretują malarstwo młodopolskiego artysty. Poruszone i ożywione kompozycje Jacka Malczewskiego funkcjonują w etiudach jako tzw. tableau vivants, czy też malarskie ślady przenikające materię filmową.

Według Dyrektora Muzeum Narodowego w Poznaniu – Tomasza Łęckiego, jest Pan współczesną wersją Jacka Malczewskiego. Jak Pan się czuje w zestawieniu z Jackiem Malczewskim, czy czujecie Pan jakąś synergię?

To była idea Dyrektora MNP, zaprosił mnie do współpracy i stwierdził, że według niego jestem kontynuatorem myśli Jacka Malczewskiego, czy też jego języka symbolicznego w sztuce polskiej. W związku z tym zapytał mnie, czy byłbym zainteresowany, żeby przełożyć na język ruchomych obrazów obrazy Malczewskiego. To pytanie padło na podatny grunt, ponieważ Malczewski i jego twórczość są mi bliskie i dzięki temu od razu byłem na tak.

Ja sobie to wyobraziłem jako dużą podróż. „Melancholia” i „Błędne Koło” to są obrazy, które zrobiły na mnie kiedyś bardzo silne wrażenie i miałem świadomość, żeby w ogóle wejść w tę kategorię inscenizacyjną, to potrzebne są pieniądze i spory budżet – pozyskiwanie tych środków trochę trwało, ale udało się, więc ruszyliśmy do pracy.

Gdy pierwszy raz zobaczyłam obrazy „Błędne koło” i „Melancholia”, to skojarzyły mi się z kadrem filmowym, pewnym ujęciem dynamicznego przejścia pomiędzy przeszłością, teraźniejszością a przyszłością. Jak Malczewski i jego twórczość byłyby odbierane w dzisiejszych czasach? Czy Pana dzieło to ukaże?

Tak będzie, ponieważ to imaginarium Malczewskiego przenoszę przez okres 150 lat, więc od powstania styczniowego do chwili obecnej. Tytuł tego projektu to „Jacek Malczewski/Lech Majewski”, czyli zestawienie dwóch osób żyjących w innych czasach – jest to pomost w historii olski. Tak naprawdę to jest poemat wizualny o historii olski – mnie interesuje ten aspekt, który kino dopiero odkrywa. Kiedyś kino posługiwało się o wiele bardziej obrazem (francuska awangarda, rewolucjoniści rosyjscy czy wczesne kino nieme) niż obecne kino, które jest oparte na efektach, dialogach, właściwie takim telewizyjnym pokazywaniu rzeczywistości,



Mnie interesuje kino jako
poezja, czyli operowanie
skrótami myślowymi
i kondensacją, która zupełnie
inaczej działa
w odbiorze widza.

gdzie forma nie ma znaczenia. Mnie interesuje to kino jako poezja, czyli operowanie skrótami myślowymi i kondensacją, która zupełnie inaczej działa w odbiorze widza.

„Młyn i Krzyż” to Pana wybitne dzieło, inspirowane obrazem „Droga krzyżowa” Petera Brueghela Starszego...


„Młyn i Krzyż” był moją rozmową z Brueghel i właściwie z jego obrazem „Droga na Kalwarię”. Stworzyłem te videoarty na zamówienie trzech ważnych światowych muzeów – dla Luwru, Prado w Madrycie i dla waszyngtońskiego Smithsonian. Początkowo miało to funkcjonować w dystrybucji i obiegu muzealnym – a tu nagle ten film zaczął być sprzedawany po całym świecie! Do dziś zakupiło ten film 89 krajów do

normalnej dystrybucji. Przykładowo we Włoszech w Rzymie, w takim bardzo komercyjnym kinie, miał pełne sale. To był ogromny szok, bo to jednak zupełnie inny film w porównaniu do hollywoodzkich produkcji. Również w wielu innych światowych kinach ten niefilmowy film, jak „Młyn i krzyż”, utrzymywał się bardzo długo w repertuarze.

Razem z moim rozmówcą stwierdziliśmy, że mamy takie marzenie, aby te videoarty dla projektu „Jacek Malczewski/Lech Majewski” dla Poznańskiego Muzeum Narodowego także poszły w świat i opuściły gmach naszego Muzeum.

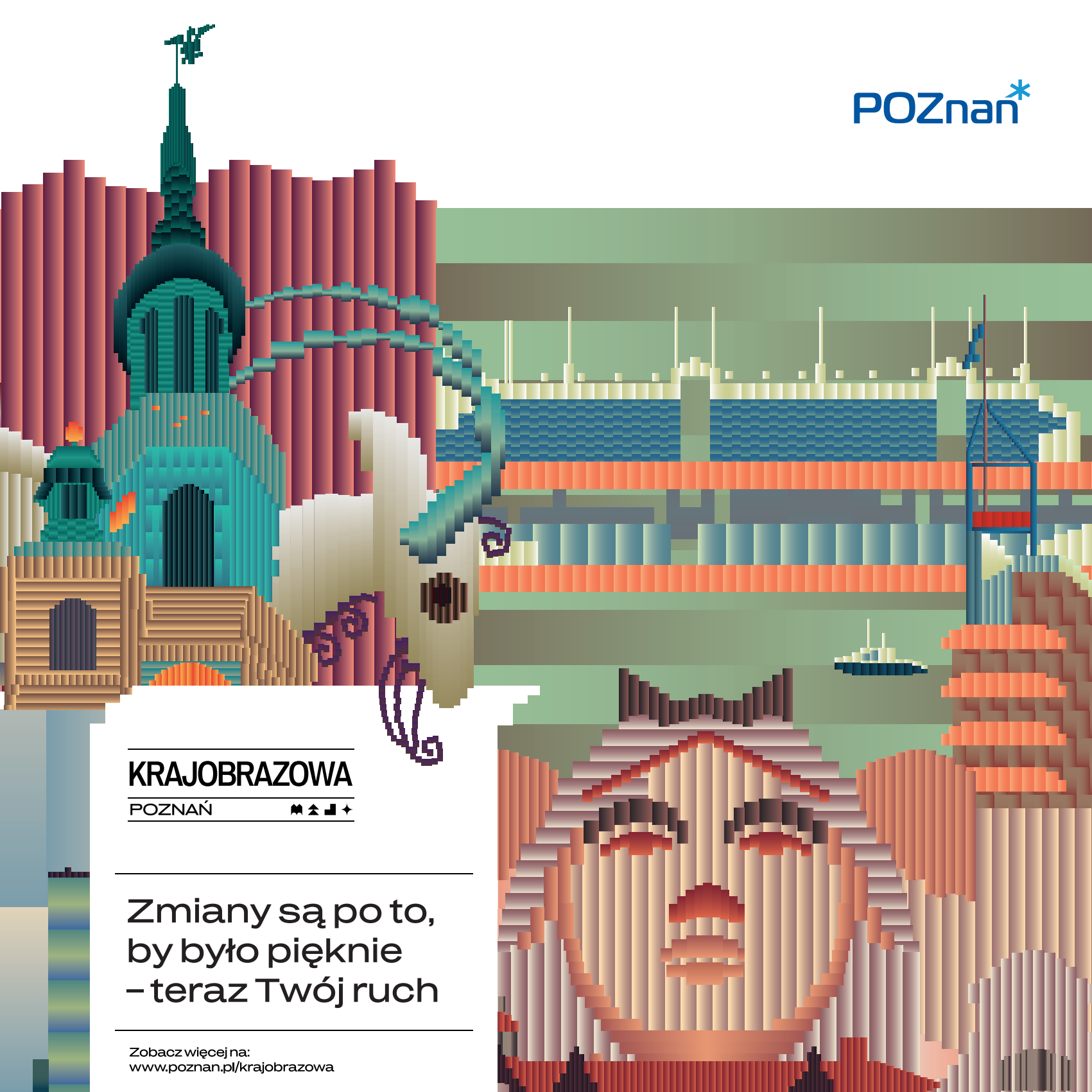
Projekt „Jacek Malczewski/Lech Majewski” będzie miał swoją premierę w 2024 roku w Muzeum Narodowym w Poznaniu.

KRAJOBRAZOWA

POZNAŃ 

Zmiany są po to,
by było pięknie
– teraz Twój ruch

Zobacz więcej na:
www.poznan.pl/krajobrazowa





SZUKASZ PRACY?

DOŁĄCZ DO NAS!

- Elastyczny harmonogram
- Nie wymagamy doświadczenia
- Wypłata co tydzień lub co miesiąc - Ty decydujesz!
- Dostęp do platformy MyBenefit

ZESKANUJ KOD QR
I SPRAWDŹ OFERTĘ!

